NUMER 4. ROCZNIK I. KWIECIEŃ 1897.

WIADOMOŚCI SALEZYAŃSKIE

A ktoby przyjął jedno dziecią̨tko takowe w imię moje, mnie przyjmuje.
(MAT XVIII, 5).

Pomiędzy sprawami zbożnemi sprawą przedewszystkiem świętą jest pomagać Panu Bogu w zbawianiu ludzi.
(ŚW. DYONIZY).

Doskonała miłość bliźniego jest jednym z największych i najcelniejszych darów, jaki dobroć Boża ludziom udziela.
(ŚW. FRANCISZEK Salezy).



Polecam wam szczególnie dziatwę i młodzież; starajcie się usilnie wychować ją po chrześcijańsku; dawajcie im do rąk takie tylko książki, które uczą jak unikać grzechu, a natomiast pełnić cnotę.
(Papież PIUS IX).

Wytężajcie wszystkie wasze siły i wasze zdolności na to, aby dziatwę i młodzież ustrzedz przed sidłami zepsucia i niedowiarstwa i przygotować w ten sposób nowe pokolenie.
(Ojciec Św LEON XIII).

DA MIHI ANIMAS CÆTERA TOLLE

Wychodzą raz na miesiąc i posyłają się *bezpłatnie* Pomocnikom salezyańskim, stósownie do życzenia, w języku włoskim, francuskim, hiszpańskim, angielskim, niemieckim lub polskim.

Adres: Redakcya „Wiadomości salezyańskich" **TURYN**, via Cottolengo 32, **ITALIA**.

Do naszych Pomocników.

Z pomocą łaski Bożej wstępujemy w drugi kwartał naszego wydawnictwa.

W ciągu ostatnich trzech miesięcy otrzymaliśmy z różnych stron Polski, dokąd **„Wiadomości salezyańskie"** dotychczas zdołały były dotrzeć, tyle słów gorącego uznania i życzeń, a szczególnie zachęty do wytrwania na obranej drodze: doznaliśmy tyle serdecznej życzliwości ze strony **Pomocników** salezyańskich wszelkich warstw i odcieni społeczeństwa polskiego: od górnika górnośląskiego zarówno jak od gbura Prus Zachodnich; od nauczyciela i przemysłowca poznańskiego tak samo jak od urzędnika galicyjskiego; od proboszcza z kaszubskich stron podobnie jak od kanonika poznańskiego lub mistrza nowicyuszów czci najgodniejszych OO. Jezuitów, — że gdybyśmy od samego początku o tem nie byli przekonani, to musielibyśmy uwierzyć obecnie, tj. iż wydawnictwo **„Wiadomości salezyańskich"** stoi równie, jak wszystkie inne przedsięwzięcia synów księdza Bosko, pod przemożną Opieką **Panny Najświętszej Wspomożycielki.**

Jest to Jej i li tylko Jej dziełem, że pomimo przebijającej w każdym wierszu nieudolności wydawców pismo niniejsze, od chwili pojawienia się, znalazło wszędy gorące przyjęcie: pod słomianą strzechą kmiecia wielkopolskiego i w skromnym domku górnośląskiego robotnika, w czytelni ludowej i w salonie pańskim, na plebanii i w ubogim domu zakonnym.

Niech więc także za tę, jak wogóle za wszystkie inne łaski, ustawicznie nam wyświadczane, będzie cześć i chwała **Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych!**

Oddawszy winny hołd niebieskiej Opiekunce, przechodzimy teraz do niektórych spraw, tyczących się strony praktycznej wydawnictwa.

Kilkunastu gorliwych Pomocników górnośląskich, zwłaszcza z takich miejscowości, które liczą po kilku, a nawet kilkudziesięciu Współpracowników salezyańskich, zwróciło się do nas z zapytaniem, czybyśmy na ich ręce i pod ich adresem nie przesyłali tyle numerów „**Wiadomości salezyańskich,**" ilu Pomocników (je pobierających) liczy ich wioska, kolonia lub miasteczko, — ofiarując się doręczać regularnie każdemu z nich co miesiąc odnośny numer czasopisma.

Odpowiadamy, że z żywą wdzięcznością i z największą chęcią przyjmujemy inicyatywę dzielnych naszych górnośląskich Pomocników, a to dla dwóch głównie przyczyn:

1) ponieważ w ten sposób położy się koniec lekkomyślnemu i samowolnemu nieraz odrzucaniu „**Wiadomości salezyańskich**" i odsyłaniu ich napowrót do T u r y n u ze strony niejednego z listonoszów (Niemców, lub co gorsza: zniemczonych Polaków), którzy okazują się nieraz nader pohopnymi w przylepianiu karteczek, że ten lub ów Pomocnik jest „*unbekannt,*" „*polizeilich nicht gemeldet,*" „*verweigert die Annahme,*" a nawet że jest „*verstorben,*" chociaż skądinąd wiemy, że nietylko jeszcze żyje, ale dzielnie rozkrzewia w swojej okolicy Związek mszalny i Związek Pomocników salezyańskich;

2) ponieważ podobne skupianie się Pomocników naszych doprowadzi z czasem do tworzenia *kółek* (czyli *dekuryi*) salezyańskich, do czego już teraz powoli dążyć powinniśmy.

O tem jednakże pomówimy obszerniej w jednym z późniejszych numerów naszych „**Wiadomości.**"

Na teraz upraszamy wszystkich tych naszych Pomocników, którzyby się chcieli podjąć *agentury* (jeżeli się tak wyrazić można) „**Wiadomości salezyańskich**" w swojej wsi lub mieście, żeby się do nas w tej sprawie zgłosili.

Prócz tego pozwalamy sobie na dwie jeszcze sprawy zwrócić uwagę całego ogółu **Pomocników** salezyańskich.

Pierwsza tyczy się sposobu prowadzenia korespondencyi listownej.

Celem ułatwienia i ustalenia korespondencyi pomiędzy nami a Pomocnikami naszymi, jak również pragnąc uniknąć, bądź nieregularnego odbierania pisma, bądź odrzucania go dla błahych pozorów na poczcie ze strony urzędników państwowych (o czem była mowa powyżej), pożądanem jest, ażeby

1) w **każdym** liście lub jakiejbądź przesyłce wypisywać i za **każdym** razem powtarzać dokładny swój adres (**imię, nazwisko, stan** albo **godność, miejsce pobytu,** przyczem należy podawać **ulicę** i **numer domu,** lub przynajmniej nazwisko jego właściciela, **pocztę, powiat i prowincyą**);

2) takiż sam **dokładny** adres podawać, nadsyłając spis nowych członków do **Związku Pomocników salezyańskich,** przyczem **wyraźnie** należy oznaczyć tych, którym się ma posyłać „**Wiadomości salezyańskie;**"

3) o **każdej** zmianie miejsca pobytu (czyli o zmianie swojego adresu) donosić, i to **wcześnie,** do T u r y n u, ażebyśmy także my zawczasu ją mogli w księgach naszych zanotować;

4) listy i wszelkie przesyłki, do nas wysyłane, opłacać dostatecznie (na zwykły list, wysyłany z **Prus,** przylepia się znaczek pocztowy za 20 fenygów; z **Austryi** za 10 centów; z **Rosyi** za 10 kopiejek);

5) w listach rozróżniać dokładnie sprawy, uwiadomienia i spisy członków, odnoszące się do **Związku mszalnego**, od takichże spraw, uwiadomień i spisów, należących do **Związku Pomocników salezyańskich**, czyli: nie mięszać jednego **Związku** z drugim;

6) nadsyłając ofiary, wyrażać zawsze jasno i dokładnie, iż taką a taką sumę przeznacza się na tyle i tyle Mszy św., na misye, na nowennę do Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych, na „**Wiadomości salezyańskie**," na medaliki lub obrazki, albo że się ją przysyła po prostu jako **ofiarę** na potrzeby Zgromadzenia salezyańskiego;

7) zapisując się do grona **Pomocników salezyańskich** zapisywać również (podając imiona i miejsce pobytu) takich członków swojej rodziny, którzy liczą więcej niż 16 lat. W ten sposób cała rodzina na całe życie będzie duchowo złączona ze Zgromadzeniem salezyańskiem, a jeżeli który z jej członków ciężko zachoruje albo umrze, to znajdzie się zawsze ktoś, który zawczasu o tem uwiadomi O. Jenerała Zgromadzenia salezyańskiego, ażeby tenże w myśl § 5 rozdz. VII **Ustaw dla Pomocników** w razie choroby: *zarządził zaraz osobne modły za nim* w kościele Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki w Turynie; w razie zaś śmierci: *umieścił go w wykazie zmarłych Pomocników i polecił jego duszę wspólnym modlitwom.*

Tyle co się tyczy korespondencyi.

Druga sprawa odnosi się do **Związku mszalnego.**

Niektórzy nasi Pomocnicy donoszą nam, że w zbieraniu ofiar na rzecz **Związku mszalnego** napotykają na trudności ze strony pewnych (mówiąc stylem „**Katolika**") *osób poważnych* (nawiasem możnaby także dodać: *a od stóp do głów zniemczonych*), które nie wahają się obrzucać publicznie Zgromadzenie salezyańskie sprosnymi i niegodnymi tak poważnych mężów, jak również miejsca, gdzie je wygłaszają, wyrazami, ich zaś (*Pomocników* naszych) przedstawiać jako jawnogrzeszników i grozić im za ich dobry uczynek pomstą Bożą, piekłem i pruską policyą (najczęściej tą ostatnią).

Odpowiadamy na to: Ojca naszego i Założyciela, księdza **Jana Bosko**, takież same *poważne osoby* uznały były wprost za waryata i chciały go podstępem odwieźć do domu obłąkanych, a jednak ostatecznie pokazało się, że dzieło, jakie on rozpoczął, było dziełem Bożem, które pomimo ich oporu i krzyków stało się i jest obecnie tem, czem Pan Bóg je mieć był zamierzył.

Cierpliwości zatem i wytrwałości, przezacni **Pomocnicy** salezyańscy! Napaści i obelgi, jakie Was spotykają, znoście po chrześcijańsku, zapominając o nich i przebaczając je Waszym prześladowcom. Dowodzą one tylko, że tak Wy jak i my jesteśmy na dobrej drodze i że również to najnowsze, tyle prześladowane dzieło salezyańskie, właśnie dlatego, że napotyka na przeciwieństwo u ludzi, jest dziełem Bożem, które ostatecznie górę weźmie i tryumf odniesie. Mamy za sobą potwierdzenie Kościoła i błogosławieństwo Ojca św., — czegoż więc nam więcej potrzeba?

Miasto się zatem podobnemi napaściami trwożyć, zjednoczmy się raczej wszyscy Salezyanie — zakonnicy i Pomocnicy — ze sobą silnie, zespólmy serce do serca i ramię do ramienia.

Do dzieła, przezacni **Pomocnicy** salezyańscy! Inne, daleko ważniejsze sprawy i przedsięwzięcia czekają nas i Was, aniżeli te marne utarczki z domowymi wrogami. Rozszerzajmy raczej wspólnemi siłami misye i obydwa **Związki** salezyańskie. Niech każdy z Was stara się w ciągu bieżącego roku pozyskać jak najwięcej nowych Pomocników. To najlepszą będzie odpowiedzią na wszelkie zaczepki. Niech Związek mszalny i Związek Pomocników salezyańskich ogarnie cały kraj, cały naród polski. Gdy to nastąpi (a zależy to tylko od Was, jedynie od Waszej ruchliwości, od Waszego działania), wtedy na naszej świętej ziemi polskiej **nasamprzód** spełnią się prorocze słowa księdza Bosko: **przyjdzie ten czas, kiedy być dobrym katolikiem a Pomocnikiem salezyańskim będzie znaczyło jedno i tosamo.**

OSTATNIE MISYE
X. BISKUPA
ALOJZEGO LASAGNA.

Misye w stanie brazylijskim Mato Grosso *).

Czytelnikom *Bollettino Salesiano* donosiliśmy niedawno, że X. Biskup Alojzy Lasagna od kilku miesięcy zapuścił się z gronem misyonarzy salezyańskich w niezmierny i prawie całkiem dotąd nieznany stan brazylijski, Mato Grosso. Stamtąd przysłał nam niedawno temu nader zajmujące sprawozdania z misyi, które odtąd poczniemy umieszczać w naszem piśmie. Wprzódy jednakże uważamy za stósowne poprzedzić jego opis misyi kilkoma wstępnemi uwagami o tymże stanie, — krótkiemi wiadomościami, wyjętemi z listu jednego z naszych misyonarzy, X. Piotra Cogliolo, przebywającego w Brazylii już od kilku lat, a to w tym celu, ażeby czytelnicy nasi nabrali należytego wyobrażenia, jak wzniosłem, ale zarazem jak trudnem jest przedsięwzięcie, którego się tamże podjęli synowie X. Bosko.

Stan Mato Grosso.

Mato Grosso (w języku portugalskim = *las wielki* albo *gęsty*) jest jednym z najrozleglejszych stanów zjednoczonych nowej rzeczypospolitej brazylijskiej, powierzchnia jego bowiem, wynosząca 1,379,651 klm. kwadratowych, równa się obszarowi razem wziętych Francyi, Włoch i Hiszpanii.

Ludność, mniej lub więcej ucywilizowana, dochodzi do 80,000 dusz; stolica stanu, Cuyabà, jest rezydencyą gubernatora i jedynego biskupa i liczy około 8,000 mieszkańców. Ogromny ten stan zawiera źródła głównych rzek, wpadających z jednej strony do *Parany*, z drugiej zaś do *Amazonki*; leży zupełnie w głębi kraju i tylko pośrednio łączy się z morzem, rozpoczyna się zaś na południu pod 23° szerokości i ciągnie się ku północy aż do równin Parecis.

Podróż z Rio-Janeiro do Cuyabà dużo zabiera czasu, albowiem z powodu zupełnego braku komunikacyi lądowej, trzeba płynąć najprzód do Montevideo (żegluga ta zaś zwykle trwa przez dni trzy lub cztery), następnie płynie się rzeką *Rio de la Plata*, potem korytem *Parany*, a nareszcie *Paraguaju*.

W większej części tego zakątka Brazylii klimat jest bardzo gorący i niezdrowy. Mato Grosso obfituje wszakże w zwierzynę, ryby, jarzyny i owoce. Podobnie jak we wszystkich podrównikowych krajach, roślinność jest tam wspaniałą i niezmiernie bogatą, znajdujemy tam bowiem *kakao*, *wanilię*, *bawełnę*, krzewy *tamaryndowe*, *banany*, *kawę*, *trzcinę cukrową*, tudzież mnóstwo innych pożytecznych roślin, obok nich zaś najpiękniejsze i najbardziej cenione drzewa, jak naprzykład *jacarandà*, *mogano* i *cedry*.

Co do minerałów, to widzimy tam *złoto*, *dyamenty*, *żelazo*, *miedź* i *topazy*.

Zwierzęta tamtejsze zarówno co do kształtu, jak i pod względem dzikich, krwiożerczych instynktów, różnią się znacznie od europejskich. Najpospolitszemi z nich są tak zwane *onca parda* i *onca rajada*, czyli brazylijskie tygrysy. Na drzewach igrają wesoło najrozmaitsze gatunki małp.

Z płazów zasługuje na uwagę wąż *boa constrictor*, mający siedm metrów długości; grzechotnik, zwany *cascavel* przez naturalistów, oraz tysiące innych wężów, jak również *aligator*, czyli krokodyl amerykański, których można często spotkać na drodze.

Mieszkańcy Mato Grosso.
Religia dzikich.

Jakeśmy już wyżej wspomnieli, ilość nawpół lub zupełnie ucywilizowanych ludzi wynosi tam około 80,000, po większej części narodowości portugalskiej, reszta zaś składa się z murzynów lub mulatów *). Lecz nad brzegami rzek, na równinach, lub w głębi olbrzymich lasów mieszkają liczne hordy dzikich krajowców, tchnących dotąd jeszcze pierwotną nieubłaganą nienawiścią względem wszelkich objawów cywilizacyi. Wiele z tych plemion,

*) Wyjątki z listów ś. p. X. Biskupa Alojzego Lasagna umieszczały niedawno temu *Missye katolickie*, wychodzące w Krakowie. — Tutaj podajemy je w całej rozciągłości na podstawie oryginału włoskiego.

Dla braku miejsca umieszczony będzie krótki życiorys tego gorliwego misyonarza salezyańskiego wraz z opisem katastrofy kolejowej, której padł ofiarą, w numerze następnym.

*) *Mulat* = urodzony z murzyna i białej, lub z białego i murzynki.

przeważnie koczowniczych, włóczy się po lasach bez żadnej innej odzieży, oprócz tej, jaką im dała przyroda.

Powszechnie używaną mową jest język *guarany*, ulegający zresztą u każdego plemienia rozmaitym zmianom. Głównemi z tych plemion są następujące: *Coroados*, *Aymorés*, *Kainguà*, *Guaycurús*, *Carijós*, *Coetés*, *Tabajares*, *Goytacazes*, *Omaguy*, *Guani* i t. d. Wpośród dzikich tych ludów i dla nich przeważnie mają pracować salezyańscy misyonarze.

Wszyscy ci tubylcy brazylijscy, podobnie jak i inne na pół dzikie plemiona amerykańskie, są poganami. Wielbią oni dwa naczelne bóstwa: dobre, zwane *Tupá*, i złe *Anhangá* (wymawia się: Aniangá), oprócz tego wierzą jeszcze w istnienie mnóstwa podrzędnych bożków i bogiń, zwanych *Munites*. Modlitwa ich polega na wznoszeniu rąk ku słońcu lub księżycowi z okrzykami: *Teh! Teh!* t. j. *pomocy! ratunku!* Błyskawice i pioruny przejmują ich niesłychaną trwogą, tak że ilekroć grzmi, a zwłaszcza gdy się błyska lub pioruny biją, nie śmią nawet się odezwać, tylko w milczeniu z głębokiem westchnieniem wskazują ręką na niebo. Tym jednak, którzy ich zachęcają do oddawania czci Bogu, trzymającemu w swem ręku grzmoty i pioruny, zwykle odpowiadają: „*Rzecz dziwna, doprawdy, iż Bóg, o którym mówicie, że jest dobrym, przeraża ludzi piorunami.*“

O stworzeniu świata nie wiedzą nic zgoła; podział zaś czasu opierają wyłącznie na zmianach księżyca. Opowiadają też, że jakiś potężny cudzoziemiec (*mair*), znienawidził tak dalece ich przodków, iż wytępił wszystkich za pomocą okropnej powodzi, z wyjątkiem dwojga, których postanowił ocalić w celu otrzymania nowego potomstwa. Od tych dwojga ocalonych, dzisiejsi brazylijscy dzicy wyprowadzają swe pochodzenie.

Powyższa tradycya, która pomimo swego przeinaczenia zdradza widocznie pewien związek z historyą potopu, przechowała się nawet w ich pieśniach. Również nie da się zaprzeczyć, iż wierzą w nieśmiertelność duszy, twierdzą bowiem, że dusze tych, którzy uczciwie żyli na świecie, pójdą „*po za góry*“ do uroczej krainy, w której się połączą z duszami swych przodków, aby przebywać z niemi wiecznie w prześlicznych ogrodach, z niemi się śmiać ciągle, skakać i śpiewać. Przeciwnie, dusze ludzi złych, lub nie mogących się obronić od napaści wspólnych nieprzyjaciół, zostaną porwane przez *Anhangà*, czyli ducha złego i na wieczną będą skazane karę.

Mają też pewien rodzaj kapłanów, pełniących zarazem obowiązki lekarzy; zowią ich *pagés*. Kapłani tacy rekrutują się zwykle z najstarszych ludzi we wsi, i zapomocą rozmaitych szalbierstw utrzymują lud w przekonaniu, że *Anhangà* dręczy ich ciągle, a zwłaszcza w nocy. Wszystkim uroczystościom dzikich przewodniczą ci *pagés*: oni rozpoczynają pieśni, wszelką muzykę i tańce, oni kierują niemi, tańczą jednakże równocześnie na równi ze wszystkimi. Podczas takich zebrań mężczyzni i dzieci uderzają się w piersi, wyprawiają piekielną wrzawę i udają opętanych przez szatana, kobiety zaś zachowują się tak, jak gdyby dostały napadu kurczów (tańca św. Wita).

Po tych konwulsyjnych skokach uczestnicy odpoczywają przez kilka minut, poczem zaczynają obracać się w kółko i pląsać, podnosząc kolejno to jedną, to drugą rękę lub nogę, podają sobie ręce i tworzą koło, to znowu tańczą każdy z osobna. Wreszcie tworzą trzy koła i do środka każdego z nich wchodzi jeden z *pagesów*, który ich okadza dymem tytoniowym, wołając: „*Otrzymajcie wszyscy ducha mocy, z pomocą którego możecie zwyciężyć waszych nieprzyjaciół.*“ Muzyczne ich narzędzia składają się głównie z rodzaju trąby, wyrobionej częstokroć z piszczeli poległych nieprzyjaciół i zwanej *inubia*. Wydrążają również owoce, które nazywają *cabacas* albo *cuias*, napełniają je kamykami, nawlekają sznurkami i przywiązują je sobie do nóg. Te dzwoneczki roślinne podczas tańca wydają tony, niepozbawione pewnego harmonijnego dźwięku. Zowią je *ahouai*.

Dzikość Indyan. — Trudności do zwalczenia dla misyonarza.

Indyanie ci cenią przedewszystkiem siłę fizyczną, zuchwałość i okrucieństwo. Pokonani, gdy widzą, że ich przeciwnicy mają im wymierzyć cios śmiertelny, lub że ich mają pożreć, nietylko nie błagają wrogów o litość, ale głośno znieważają ich słowami.

Nie będziemy opisywali okropnych scen, jakie towarzyszą podobnym egzekucyom, takie bowiem opisy byłyby zbyt wstrętne. Zaznaczymy tylko, iż wogóle rolę katów zwykły odgrywać stare kobiety i wywiązują się ze swego zadania ku zupełnemu zadowoleniu obecnych. Wiemy zresztą z najbardziej wiarogodnych źródeł, iż Indyanie z Mato Grosso, podobnie jak z Goyazu i z nad brzegów *Amazonki*, należą do najdzikszych, najokrutniejszych i najbardziej zbydlęconych, oraz upośledzonych pod każdym względem

ludów Ameryki Południowej. Nie uznają żadnej nad sobą władzy, a chociaż mają swoich *kacyków*, to jednak ci zwykle tylko podczas wojny posiadają pewną władzę. Zresztą w obchodach uroczystych i wielu innych okolicznościach, Indyanie, jakeśmy już widzieli, oddają pierwszeństwo swoim *pagesom*.

Zbliżając się do ich siedzib, podróżny bardzo niemiłego doznaje wrażenia, gdyż najczęściej okropny przedstawia mu się widok. Chaty, zwane *ocas*, zbudowane mniej lub więcej regularnie w półkole, stanowią wieś, wchodząc do której nic innego nie ujrzysz, jak rozwieszone liczne zwycięskie trofea. Są to, niestety, czaszki ludzkie, nawleczone na długie żerdzie, a tak ułożone, iż tworzą rodzaj parkanu. Niektóre plemiona trzymają bardzo silne i zażarte psy, których podczas pokoju używają do strzeżenia swych chałup, albo raczej szałasów, podczas wojny zaś do ścigania nieprzyjaciół.

W ciągu naszego opowiadania będziemy mieli sposobność do zapoznania się bliżej z rozmaitymi szczegółami ich życia. Jak na teraz chodzi nam głównie o to, by zwrócić uwagę czytelników na niezliczone trudności, napotykane na każdym niemal kroku przez naszych misyonarzy; obok dzikości i okrucieństwa tych ludów, niesłychanie gorącego i niezdrowego klimatu, jedną z tych trudności jest ich język.

Indyanie w Mato Grosso posługują się powszechnie językiem, zwanym *guarany*, który rozpada się na kilka odrębnych narzeczy, jakiemi mówią plemiona *Tupy*, *Tupujas*, *Tupinambas* i t. d. Jedni drugich nie rozumieją. Co ma począć misyonarz, jakim językiem ma przemawiać! Nadzieja w Panu. Apostołowie rozmaitymi językami opowiadali cuda Boże, tak też i my możemy się spodziewać, że sam Pan Bóg raczy zdziałać to, czego człowiek własnemi siłami wykonać nie potrafi.

Nie mniejszą trudność w tym kraju, pełnym gęstych, nieprzebytych lasów dziewiczych, stanowi brak wszelkich dróg, a tym sposobem niemożebność (przynajmniej na początek) zaopatrzenia się w zapasy żywności. A gdyby nawet zdołali je otrzymać od ludności tubylczej, cóż to są za pokarmy! Rozpalające i wstrętne do najwyższego stopnia. Należy bowiem wiedzieć, że zwykłe pożywienie Indyan brazylijskich składa się z potraw niemożebnych dla żołądka Europejczyka. I tak: ich chleb z mąki *mandiokowej*, w kształcie placków suszonych na słońcu, twardy jest jak kamień i niemożliwy do strawienia. Każdy, kto po raz pierwszy go skosztuje, dostaje zwykle nudności. A jednak misyonarz będzie musiał go jeść, najprzód dlatego, że częstokroć nie znajdzie nic lepszego, powtóre zaś, ażeby nie ściągnąć na siebie nienawiści krajowców, odmawiając przyjęcia ofiarowanego przez nich jadła.

Głównym zaś napojem Indyan jest *caoccin*, wyrabiany ze sfermentowanej kukurydzy, smaku wstrętnego, a przytem upaja, a jednak misyonarze będą musieli gasić tym napojem pragnienie.

* * *

Oto macie, Szanowni nasi Pomocnicy i przezacne Pomocnice, owo nowe a tak obfite żniwo, które Najwyższy w miłosierdziu Swojem powierzyć raczył pracy i staraniom synów X. Bosko. Oto cel, na jaki będą przeznaczone jałmużny bogatszych i grosz wdowi ubogiego. Nie przestawajcie ofiarami swojemi wspierać to nowe dzieło salezyańskie, prawdziwie chrześcijańskie a zarazem cywilizacyjne. Wspomagajcie modlitwą i jałmużną misyonarzy naszych, którzy w różnych częściach świata pracują i życie swoje poświęcili na to, aby nawrócić do prawdziwej Wiary ludy, siedzące dotąd w ciemnościach i w cieniu śmierci, ażeby to swoje dzieło misyjne mogli rozszerzać dalej i dalej i ażeby rychło nadszedł ów tyle upragniony dzień, w którym sprawdzą się słowa Boskiego naszego Zbawiciela: *będzie jeden Pasterz i jedna Owczarnia.*

I.

Z Montevideo do Cuyabà, stolicy stanu Mato Grosso. — Objęcie w zarząd parafii. — Założenie „schroniska" i „kaplicy świątecznej."

DZIĘKI Bogu, stanęliśmy nareszcie w Cuyabà. Przybyliśmy tu, odbywszy długą i uciążliwą podróż. Bracia nasi, którzy wyruszyli byli z Montevideo (26go maja) na statku *Diamantino*, mieli do żeglowania 24 dni z rzędu; ja, który z tego samego portu odpłynąłem był jeszcze 8go maja wspólnie z mym wiernym sekretarzem, X. Janem BALZOLA, ażeby wpierw załatwić kilka pilnych spraw w rzeczypospolitej Paraguay, połączyłem się z nimi w porcie miasta Asunción, poczem razem przybyliśmy szczęśliwie do tej zapadłej mieściny, położonej wśród gęstych lasów stanu Mato Grosso, dnia 18go czerwca 1894 r.

Cuyabà zawdzięcza swoje powstanie poszukiwaczom złota, przybyłym ze stanu São Paolo, którzy natrafiwszy w tych

okolicach, nad brzegami rzeki, żyły złotodajne, zbiegli się tu byli w licznem gronie jeszcze przed dwoma wiekami i stali się praojcami dzisiejszej ludności. Chociaż miny złota w całej okolicy doszczętnie już wyczerpano, to jednak rząd brazylijski utrzymywał w Cuyabà stale załogę wojskową i stworzył z niej wcale silną twierdzę, na obronę rozległych granic państwa przeciw rzeczompospolitym Paraguay, Boliwii, Perù i Ekwatorowi.

Stan Mato Grosso, którego stolicą jest właśnie Cuyabà, obszarem swym przewyższa pięć razy Włochy, a jednak na powierzchni całego tego niezmierzonego terytoryum żyje zaledwie 80,000 chrześcijan; reszta ludności składa się z dzikich, pogańskich plemion, włóczących się po niem samopas wzdłuż i wszerz, od południa ku północy i od zachodu ku wschodowi.

Można sobie zatem wyobrazić, jaka praca czeka tu naszych misyonarzy, mających zapuścić się w te niezmierzone gęstwiny, wyszukiwać biednych dzikich, uczyć ich zasad wiary i wpajać w nich obyczaje chrześcijańskie. Jest to pole do pracy apostolskiej dotychczas całkiem jeszcze nietknięte, a może na niem zapału i gorliwości o zbawienie dusz próbować cały legion żarliwych misyonarzy.

Zaledwie stanęliśmy na miejscu, otrzymaliśmy na początek parafię św. Gonzalo, w porcie miasta Cuyabà. Tu będzie punkt wyjścia naszych wycieczek misyonarskich. W niewielkim domku, gdzie kreślę niniejszy list, otworzyliśmy zaraz małe *schronisko* dla biednych dzieci i *kaplicę świąteczną*, do której już pierwszego dnia (w święto św. Jana Chrzciciela) przybyło 27 dzieci. Stąd zaczniemy się zapuszczać — i to bez zwłoki — w lasy, a pierwszą naszą stacyę misyjną założymy nad brzegami *S. Lorenzo*, na jakie 150 kilometrów od Cuyabà, gdzie będziemy głosić Ewangelię krwiożerczym szczepom *Coroados*, którzy są właśnie owymi dzikimi tubylcami, co przez długie lata trapili ustawicznymi najazdami spokojną ludność chrześcijańską, a dla strasznych okrucieństw, jakich się na niej dopuszczali, byli dla niej przedmiotem zgrozy i ciągłej obawy.

Rząd brazylijski w dawniejszych czasach czynił wprawdzie na nich obławy i urządzał od czasu do czasu w strony, przez nich zamieszkane, wyprawy wojenne, wiele razy sprawił nawet wśród nich prawdziwą rzeź, nigdy jednakże nie zdołał całkiem ich poskromić, a tem mniej wytępić. Chwycił się zatem innego środka. Próbował ich sobie zjednać różnymi podarunkami i nadsyłaniem żywności, jakoż w rzeczywistości opłaca im corocznie haracz w tej ostatniej formie, i czyni jednem słowem wszystko, ażeby ich obłaskawić i zapobiedz dalszym ich napadom, — wszystkie te środki jednakże nie zdołały dotąd zaszczepić wśród nich ani odrobiny cywilizacyi.

Otóż za dwa tygodnie pójdziemy tam do nich z krzyżem Jezusa Chrystusa w ręku, ażeby pod słodkie jarzmo Pana i Zbawiciela naszego ugiąć tych biednych dzikich, co do swych instynktów mało się różnią od zwierząt i którzy z człowieka mają co najwyżej zewnętrzny wygląd.

Wpierw jednak, nim przejdę do szczegółów o tej pierwszej naszej wyprawie misyonarskiej do *Coroados* *), jak również o innych wycieczkach, jakie sobie założyliśmy: zanim zacznę opisywać zwyczaje i sposób życia tych dzikich plemion, niech mi wolno będzie cofnąć się na chwilę wstecz i nadmienić coś o długiej naszej podróży z Montevideo aż na to miejsce, gdzie obecnie się znajdujemy, a które nam Opatrzność na rozpoczęcie nowego dzieła przeznaczyła.

Na *Rio de la Plata*. — Odwiedziny u Salezyanów w Rosario. Rzeka *Paraná*.

Odległość pomiędzy Montevideo a Cuyabà wynosi więcej niż 5,000 kilometrów. Do przebycia tej przestrzeni na małym parowcu, posuwającym się po falach rzek bardzo powoli, z powodu silnego ich prądu, więcej potrzeba czasu, niżby go wymagała żegluga z Montevideo do Genui. Niewielu czytelników zdoła sobie utworzyć należyte pojęcie o olbrzymich tych rzekach. Tak naprzykład ujście *La Platy* ma około 25 mil szerokości.

Po wyjeździe z Montevideo, płynie się przez dzień cały jakby po morzu, zawierającem wodę słodką, poczem pozostawiwszy na prawo *Uruguay*, wpływa się na łożysko *Parany* przez jedną z szerokich odnóg, tworzących jej ujście. Po prawym brzegu rzeki (kto płynie w jej górę), na znacznej przestrzeni, ciągnie się niska płaszczyzna, rzeka zaś bardzo często występująca z brzegów, tworzy tam mnóstwo bagnisk i moczarów.

Trzeciego dnia naszej podróży wypadło

---

*) *Coroados* = noszący tonsurę. Istotnie mają na głowie wykrojoną rzeczywistą tonsurę. Czyżby w ten sposób przechowała się u nich pamięć pobytu wśród nich jakiegoś misyonarza, który dawnymi czasy zdołał dotrzeć w te odległe strony?

nam płynąć mimo stromego brzegu rzeki, na którym wznosi się miasto San Nicolas de los Arroyos; zdaleka więc tylko rzuciliśmy tęskne spojrzenie na szare mury kolegium salezyańskiego, wznoszącego się tam jak stare średniowieczne zamczysko. Bracia nasi nie przeczuwali zapewne, że się tak blisko nich znajdujemy, ponieważ jednak parowiec nie mógł w tym porcie się zatrzymać, śledziliśmy przeto tylko wzrokiem drogie nam mury, dopóki na zakręcie rzeki nie straciliśmy ich z oczu. Późno wieczorem przybyliśmy do portu Rosario. Statek miał tam się zatrzymać zaledwie parę godzin dla naładowania towaru; skoro tylko zarzucił kotwicę, natychmiast na nasze powitanie pospieszył X. dyrektor, Don PIOVANO, z kilkoma swymi współbraćmi i uczniami.

Wsiedliśmy do powozu i niebawem dojechaliśmy do kolegium, gdzie nas oczekiwała reszta Zgromadzenia. Obecnie rezydencya w Rosario jest bardzo jeszcze skromnym i ubogim domem zakonnym, lecz nie ulega wątpliwości, że wkrótce na szeroką rozwinie się skalę.

Rosario jest miastem nader bogatem i gęsto zaludnionem, ale zarazem wyzyskiwanem przez rozmaite sekty i przytem pełnem złego. Handel, bardzo ożywiony, przyczynia się do zbogacenia mieszkańców, ale zarazem i do moralnej ich ruiny; miasto obfituje w teatra, cyrki i inne miejsca, służące do publicznych rozrywek; trochę zaś religijności, jaka jeszcze utrzymać się zdołała, niknie prawie zupełnie wobec namiętnej żądzy łatwego i szybkiego zysku, tudzież nienasyconego pragnienia zabaw, uciech i rozrywek.

Ponieważ po raz pierwszy dopiero zwiedzałem Rosario, miasto, zamieszkane prawie wyłącznie przez Włochów, choć mało mi już pozostało czasu, to jednak nie mogłem pominąć tamtejszego Domu **Sióstr** pod wezwaniem **Matki Boskiej Wspomożycielki.** Zakonnice te rozporządzają rozległym kawałkiem gruntu i w krótkim stosunkowo przeciągu czasu zdołały już wybudować wcale piękną kaplicę. Obecnie zajęte są budową nowych sal dla licznych swych uczennic, których coraz więcej się zgłasza. Oba powyższe domy zakonne, będące teraz jeszcze w kolebce, zdziałają z pewnością wiele dobrego w Rosario. Bogu Wszechmogącemu niech będą za to dzięki.

Pożegnawszy się serdecznie z braćmi, powróciłem na statek z pospiechem, ażeby puścić się w dalszą podróż.

Bracia nasi w Rosario byli pierwszymi i ostatnimi zarazem, jakich mogliśmy spotkać w ciągu naszej podróży. Odtąd mieliśmy już ciągle stopniowo się przyzwyczajać do widoku nowych twarzy i nowych zwyczajów. Nie dziw więc, że posmutnieliśmy i że coraz więcej dawała nam się we znaki pustka, jaka nas otaczała, jak również, że oko nasze więcej niż zwykle dotychczas zaczęło się zatrzymywać melancholijnie na majestatycznym *Paranà*.

Paranà! Co za olbrzymia masa wody! Co za nieskończony labirynt fantastycznych zatok, odnóg i ramion! Jakie mnóstwo malowniczych wysepek, zieleniących się na kryształowej powierzchni!

Geografowie twierdzą, że *Paranà* jest 36 razy większy od włoskiego *Po*, to samo zaś da się powiedzieć i o *Paraguaju*. Obie te rzeki zawierają w swem łożysku 72 razy więcej wody, niż największa rzeka na Apenińskim półwyspie.

W miarę oddalania się od portu Rosario, płynąc w górę rzeki, brzeg lewy się obniża, prawy zaś natomiast podnosi się stopniowo. Na rozległych równinach, ciągnących się na lewym brzegu, leżą słynne kolonie Santa Fe, liczące już około 300,000 emigrantów włoskich, którzy użyzniając swą pracą i potem gościnną ziemię, wydobywają z niej corocznie miliony korcy pszenicy i innych gatunków zboża, wywożonych następnie na okrętach do wszystkich zakątków świata.

Bolesną tylko jest rzeczą, że pracowitym i poczciwym tym rolnikom bardzo często, niestety, daje się uczuwać brak niezbędnej religijnej pomocy.

W taki jedynie sposób daje się wytłómaczyć fakt, że w roku ubiegłym ulegli namowom zuchwałych i przewrotnych agitatorów, oraz że wywiesili chorągiew buntu, niecąc w kraju pożogę wojny domowej, którą rząd argentyński w ich własnej krwi ugasił.

II.

Prześladowcy Indyan.
Spotkanie ze starym przyjacielem.

Kapitanem statku *Mercedes* jest stary Genueńczyk, p. Stefan Nocetti, zacny i poczciwy człowiek, od lat już przeszło 40 żeglujący na tych rzekach. Dawniej piastując tenże sam urząd na okrętach żaglowych, dopływał niekiedy do Paraguayu, Corumbà, lub nawet do Cuyabà, chociaż żegluga taka trwała wówczas zwykle przeszło trzy miesiące. Z przyjemnością też można było słuchać jego opowiadań o rozmaitych awanturniczych przygodach, doznanych pod-

czas tak długich podróży. Zna on wybornie całe łożysko *La Platy* i wszystkie sąsiednie zakątki. Ilekroć wiatr mu nie sprzyjał, zarzucał kotwicę, wylądowywał uzbrojony w karabin i zapuszczał się w lasy, szukając zwierzyny, której tu pełno; na każdym niemal kroku spotykał kaczki, kuropatwy, jelenie, kozy, sarny, dziki, oraz mnóstwo innych zwierząt, właściwych tej krainie. Czasami nawet zdarzało mu się znaleść to, czego nie szukał, a mianowicie dzikich, uzbrojonych w łuki z zatrutemi strzałami, a również tygrysy, lamparty, krokodyle i olbrzymie węże rozmaitego rodzaju. Opowiadał przygody, słuchając których włosy stawały na głowie.

Obecnie na terytoryum, ciągnącem się wzdłuż prawego brzegu rozpoczęto tu i owdzie kolonizacyę, brzeg zaś lewy aż do *Pilcomajo* jest tak niski i tak często podlega powodzi, iż osiedlenie się na nim jest niepodobieństwem.

Zresztą poprzednie argentyńskie rządy zawsze były okrutne i nieubłagane dla Indyan i wytępiły ich prawie wszystkich, tak że na rozległej bagnistej przestrzeni, znanej pod nazwą argentyńskiego *Czako*, już ani śladu ich nie pozostało. — Wyprawy wojenne wymordowały lub wyparły tych nieszczęśliwych po za *Pilcomajo*, na terytoryum paraguajskiej rzeczypospolitej, gdzie biedni Indyanie stosunkowo bezpieczne znaleźli schronienie.

Trudno zataić, jaka nas boleść ogarnęła na myśl, że brzegi tej niezmiernej rzeki w dawniejszych czasach były gęsto zaludnione licznymi szczepami tubylców, z których obecnie nie pozostało ani śladu, a których niedobitki są może skazane na zupełne zniknięcie z powierzchni ziemi, jeżeli misyonarze katoliccy nie pospieszą uratować, ilu ich jeszcze pozostało, rozproszonych w gęstwinach tych nieprzebytych lasów strefy zwrotnikowej. A już ze wstydem wyznać należy, że tak zwana nowożytna cywilizacya jest prawdziwie nieubłaganą dla biednych tych istot, które bierze bez litości za cel pocisków strasznych swych karabinów. Nie potrzebuję sięgać daleko, aby przytoczyć wymowny tego przykład.

Jednocześnie ze mną przybył do P a r a g u a y u pewien Szwajcar, który brał udział w ekspedycyi Müllera, przedsięwziętej w celu zbadania terytoryum *Czako*. Otóż ten pan zdobył sobie haniebny przydomek *myśliwego polującego na Indyan;* wysławiano go wszędzie, ponieważ karabin jego nigdy nie chybił celu i w samem tylko *Czako* argentyńskiem zastrzelił z zimną krwią przeszło stu nieszczęsnych krajowców. — Okrucieństwa te, pomimo swej grozy, nie dziwią tu nikogo.

A teraz podejmuję na nowo wątek opowiadania naszej podróży.

Dnia 12 maja parowiec nasz miał się zatrzymać na kilka godzin w porcie D i a m a n t e, ażeby zabrać stamtąd 400 worów mąki. D i a m a n t e jest to wieś, wzrastająca obecnie z niesłychaną szybkością i mogąca stać się wkrótce nader ważnem miastem, gdyż w najbliższej okolicy istnieje już kilkanaście kolonii europejskich, grunt zaś tamtejszy wydaje pszenicę, poszukiwaną niezmiernie na rynkach, bo uważaną za najlepszą w Ameryce Południowej.

Sądząc, że jeszcze tego samego wieczora przybędę do portu miasta P a r a n y, postanowiłem zawiadomić telegramem o swojem przybyciu czcigodnego tamtejszego Biskupa, bardzo już sędziwego i schorzałego staruszka. W tym celu wylądowałem wraz z sekretarzem i podążyłem na probostwo, aby nawiedzić Przenajświętszy Sakrament, a następnie od miejscowego proboszcza zasięgnąć niezbędnych wskazówek. Jakże się ucieszyłem i zdziwiłem, ujrzawszy przed sobą dawnego przyjaciela i współpracownika, X. Józefa GONZALEZ'A, który ośmnaście lat temu był wikarym w L a s P i e d r a s, kiedyśmy przyjęli na siebie administracyę tej parafii. Powitał mię on z niewysłowioną radością, oraz braterską serdecznością i aż do chwili naszego wyjazdu nie rozstał się się już z nami. Jest to kapłan niezmordowany w pracy, którą został okropnie przeciążony, powierzono mu bowiem zaspokajanie duchowych potrzeb przeszło 20,000 parafian, rozproszonych na rozległej przestrzeni. Ulegając jego namowom, odwiedziłem w D i a m a n t e rodzinę pana Pagella, Genueńczyka, który tu przybył dzieckiem i z początku bardzo był ubogi, stopniowo zaś, prowadząc handel pszenicą, dorobił się miliona. W jego towarzystwie zwiedziłem również obszerny gmach rządowy, w którym pierwotnie miała być umieszczona *szkoła żeglarska*, a którego budowy następnie całkiem zaniechano dokończyć. Żal się robi doprawdy, widzieć tak wspaniały budynek, bliski już wykończenia, wystawiony na pastwę wichrów i niepogody, z murami jeszcze całkiem świeżymi a już prawie walącymi się . . . Ten i ów pragnąłby ofiarować go Salezyanom, ażeby tam założyli *szkołę rolniczą* dla ubogich chłopców, zdaje mi się jednakże, że podobnej oferty na razie nie moglibyśmy przyjąć dla braku personalu.

*

W dyecezyi Paranà. — Zwaliska dawnych świątyń.

Wkrótce po powrocie na pokład statku wyruszyliśmy w dalszą podróż, lecz nieszczęśliwym trafem dopiero po północy zarzuciliśmy kotwicę w porcie Parany. Wikaryusz jeneralny X. Biskupa czekał nas długo na tamie kamiennej w porcie, a wreszcie gdy noc zapadła, wrócił do domu. Pozostawił jednak do mnie list, w którym oprócz serdecznych słów powitania, przesyłał mi w imieniu Biskupa upoważnienie do wykonywania wszelkich obowiązków pasterskich, jeżelibym zechciał wylądować w jakimkolwiek zakątku rozległej tej dyecezyi.

Jest to rzeczywiście największe biskupstwo w całej argentyńskiej rzeczypospolitej, tak, że biskup pomimo całej swej gorliwości mógłby je przebiedz, od jednego końca do drugiego, chyba w takim tylko razie, gdyby mu Bóg użyczył skrzydeł Anioła. Oprócz rozległych terytoryów Rosario i Santa Fe, nader gęsto zaludnionych, obejmuje ono całą przestrzeń, zawartą pomiędzy rzekami *Paranà* a *Urugwajem*, to jest prowincye Entre Rios i Corrientes, tudzież tak zwane terytoryum misyjne, leżące pomiędzy Paraguajem a Brazylią i będące obecnie przedmiotem doniosłego politycznego zatargu. Teraz właśnie w celu uniknięcia niechybnej wojny, Brazylia i Argentyna poddały dobrowolnie prawa swe i pretensye do terytoryum, rozjemczemu sądowi prezydenta Stanów Zjednoczonych i oczekują z dnia na dzień jego wyroku.

Ileż to razy płynąc korytem *Uruguaju* do Paysandù, spoglądałem ze smutkiem na rozległe obszary tych prowincyi, od których mię dzieliło tylko łożysko rzeki! Z jakiem wzruszeniem witałem zdaleka urocze miasteczka Gualeguaychù, Concepción, San José, Concordia i inne, w których mieszka tylu włoskich emigrantów bez kapłana, duszpasterza, kierownika i jakiejkolwiek religijnej pociechy! Kiedyż wybije godzina, w której będziemy mogli pospieszyć im z pomocą?

Obecny prezydent argentyńskiej rzeczypospolitej, Alojzy Saenz Peña, człowiek bardzo światły, doświadczony, szlachetny i wspaniałomyślny, jest wielkim przyjacielem Zgromadzenia salezyańskiego i wielbicielem X. Bosko. Dowiedziawszy się od X. biskupa Cagliero o mym zamiarze przedsięwzięcia tak długiej podróży, zapragnął zobaczyć mnie u siebie i obsypawszy rozmaitymi dowodami uprzejmości, prosił usilnie o sprowadzenie Salezyanów do tej krainy. Zaopatrzył mnie w listy polecające do gubernatorów tutejszych stron, obiecując zarazem użyć całego swego urzędowego i osobistego wpływu, w celu jak najskuteczniejszego poparcia działalności Salezyanów w tych okolicach.

Po trzech dniach żeglugi przybyliśmy do Corrientes, stolicy prowincyi tegoż nazwiska, należącej do dyecezyi Paranà. Zaledwie statek zarzucił kotwicę, gdy na pokład jego przybył szanowny senator, Karol Avalos, w towarzystwie hiszpańskiego kapłana, Don Arachevaleta. Obaj zacni ci mężowie powitali mię nadzwyczaj serdecznie; pierwszy zaś z nich zaprosił mnie do siebie, a następnie zaprowadził do prezydenta tej prowincyi, p. Virasoro, któremu wręczyłem list od Saenz Peña. — Mówiliśmy obszernie o potrzebach prowincyi i Zgromadzeniu X. Bosko, lecz uważałem za właściwe nie zaciągać jeszcze żadnych zobowiązań, gdyż gorliwi OO. Franciszkanie, mający już tam dwa klasztory, zaspokajają dostatecznie duchowe potrzeby swych wiernych, zarówno w samem mieście, jak i w okolicy. Jeden z tych klasztorów składa się z zakonników włoskich, zależnych od Kongregacyi Propagandy w Rzymie. Łatwo można sobie wyobrazić radość, jakiej doznaliśmy, znalazłszy się razem w tak znacznej odległości od wspólnej ojczyzny. Dla nich było to największem, jak mówili, szczęściem, dla nas zaś wielką pociechą.

Chciałem również zobaczyć raz jeszcze drogiego naszego Adamo, który w roku 1876 towarzyszył mi w pierwszej wyprawie misyjnej do Uruguayu, teraz zaś w tym klasztorze znalazł na starość schronienie, spędzając tu spokojnie ostatnie lata ziemskiej swej pielgrzymki, lecz właśnie w tym czasie wydalił się był gdzieś na dłuższy czas z klasztoru, ja zaś musiałem spieszyć się z powrotem na pokład statku.

Po trzygodzinnej żegludze opuściliśmy łożysko *Paranà*. Po za miastem Corrientes, żegluga na *Paranie* w przeciągu dni dwóch coraz większe przedstawia trudności, a wreszcie z powodu licznych wodospadów staje się zupełnie niemożliwą.

Tam właśnie nad jego brzegami zaczynają obecnie się osiedlać liczne dzikie plemiona. Tam również w ubiegłych wiekach OO. Jezuici dokonywali prawdziwych cudów gorliwości i miłości bliźniego, które budzą i budzić będą zawsze uwielbienie całego cywilizowanego świata. Na krawędzi tych lasów widać dziś jeszcze szczątki sławnych ich kolegiów, lub rozrzucone tu i owdzie zwaliska wspaniałych świątyń i majestatycznych wież.

Napróżno jednak ucho i serce stara się uchwycić przebrzmiałe echo hymnów, które niegdyś wznosiły się ku niebu z głębi serc całych tysięcy neofitów, prostych i niewinnych jak dzieci. Napróżno szuka oko ślicznych ogrodów i pól, uprawianych przez Indyan, których jedynie niezmordowana gorliwość ich apostołów zdołała pozyskać dla religii i cywilizacyi. Wszystko już teraz spustoszone, wszystko uległo zniszczeniu. Indyanie po dawnemu cofnęli się w głąb lasów, wiodąc jak poprzednio życie koczownicze, wpośród zaś wspaniałych i milczących ruin gnieżdżą się tygrysy lub jadowite czołgają się węże.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PIERWSZE DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE ORATORYUM SALEZYAŃSKIEGO,

założonego przez

X. Jana Bosko.

Napisał X. Jan Bonetti.

(Ciąg dalszy).

Na pierwszy rzut oka mogłoby się zdawać, że sposób, w jaki X. Caffasso rozstrzygnął o najbliższej przyszłości młodego kapłana, sprzeciwiał się wręcz wrodzonym tegoż skłonnościom, a zwłaszcza, że krzywdził wprost założone przez niego Oratoryum, gdyż zarządzanie *szpitalem*, prawienie kazań, słuchanie spowiedzi, jednem słowem, obsługa duchowna zakładu, liczącego przeszło 400 dziewcząt (tyle ich bowiem mieściło wspomniane *Rifugio*), musiała mu przeszkadzać w zajmowaniu się dziatwą i młodzieżą.

Lecz w rzeczywistości tak nie było.

X. Dr. Jan Borel bowiem, o którym tu mowa, dyrektor schroniska, był to mąż wysoce świątobliwy i dla swoich cnót i wiedzy ogólnie poważany. Posiadał w pełnej mierze wszystkie zalety, jakie cechują kapłana według serca Bożego i jakie w naszych czasach mieć powinien każdy kapłan, pragnący godnie odpowiedzieć swojemu zadaniu. Przedewszystkiem odznaczał się niezmordowaną gorliwością o zbawienie dusz. X. Bosko często powtarzał, że uważa to sobie za szczególniejszą łaskę Bożą, iż mógł poznać i przez dłuższy czas obcować zbliska z człowiekiem tej co on miary.

Dwaj ci kapłani zaledwie się poznali, zbliżyli się do siebie od razu i zaczęli sobie nawzajem pomagać i wspólnie się zachęcać do pełnienia dobrych uczynków. Ożywieni tymsamym duchem przyrzekli sobie wzajemnie, że ile tylko im czas i wolne od obowiązków chwile pozwolą, będą się wspólnie zajmować ubogą, pracującą młodzieżą, której poziom moralny i prawie zupełne zaniedbanie ze strony powołanych do tego czynników budziły poważne obawy i nagląco domagały się otoczenia jej jak najtroskliwszą opieką.

Tymczasem X. Bosko, odkąd się przeprowadził na stały pobyt do *Rifugio*, był zniewolonym przenieść tam również Oratoryum, nie mógł bowiem pogodzić się z myślą, żeby je miał opuścić lub powierzyć w cudze ręce. Ale gdzie się chłopcy mieli zgromadzać? Brak stosownego po temu miejsca wprawiał go w rzeczywisty kłopot. —„Nie martwmy się z tego powodu,“ zakończył wspólną naradę nad tą sprawą nieoceniony X. Borel, „pokój, przeznaczony dla księdza dobrodzieja, będzie mógł przez jakiś czas na ten cel służyć, a później zobaczymy, co będzie wypadało zrobić. Myślę, że w każdym razie znajdzie się inne jakie, dogodniejsze miejsce.“

W drugą więc niedzielę października 1844 r., w święto Macierzyństwa Najśw. Panny, X. Bosko zapowiedział chłopcom, iż od przyszłej niedzieli Oratoryum będzie przeniesione w okolicę *Rifugio*, miejsce jego nowego pobytu. Na pierwszą wiadomość o tej zmianie, chłopcy się cokolwiek zaniepokoili, gdy ich jednakże zapewnił, że tam również będą mogli dowoli śpiewać, biegać, skakać i bawić się, jak im się żywnie będzie podobało, wielce się ucieszyli i każdy niecierpliwie wyglądał następnej niedzieli, ciekawy nadzwyczaj tego nowego Oratoryum, które młodzieńcza ich wyobraźnia w nader barwnych im przedstawiała obrazach. Zapowiedział im również, ażeby dla pewnych powodów nie udawali się tam z rana, lecz dopiero po południu.

Kiedy więc nareszcie nadeszła trzecia niedziela października, dzień przeznaczony od Kościoła na cześć tajemnicy niepokalanej Czystości Najśw. Maryi Panny, wkrótce po południu wtargnęła do dzielnicy Turynu, zwanej *Valdocco*, gromada chłopców różnego wieku i stanu, biegając tu

i owdzie i dopytując się o księdza Bosko i nowe O r a t o r y u m.

„Gdzie mieszka X. Bosko? gdzie jest O r a t o r y u m? Don Bosko! Don Bosko!“ wołali na całe gardło. Był to prawdziwy najazd chłopców.

Na ich wrzaski i krzyki przestraszeni mieszkańcy pobliskich domów powychodzili na ulicę, sądzili bowiem w pierwszej chwili, że się tam zgromadzili w złych jakich zamiarach. A ponieważ w tej części miasta aż do owego dnia nie słyszano jeszcze nic ani o księdzu Bosko, ani o O r a t o r y u m, zatem ludzie na pytania chłopców odpowiadali z niechęcią i gniewem: „Jaki X. Bosko? co za O r a t o r y u m? pójdziecie wy stąd precz, urwisze jacyś!“ Chłopcy myśląc, że sobie z nich żarty stroją, tem bardziej zaczęli wołać i dopytywać się. Tamci znów sądząc, że im robią na przekór, zaczęli im wygrażać i wzięli się w końcu na prawdę do kija. Rzeczy zaczęły przybierać dla chłopców wcale niepomyślny obrót, aż X. Bosko usłyszawszy hałasy i domyśliwszy się, że to jego młodzi przyjaciele przyszli szukać jego i nowe O r a t o r y u m, wyszedł do nich z *Rifugio*.

Zaledwie się pojawił, cała rzesza chłopców rzuciła się ku niemu, wołając i pytając naprzemian: „O!... Don Bosko! Don Bosko! Gdzież jest nowe O r a t o r y u m? przyszliśmy do O r a t o r y u m!“ Otoczyli go wszyscy w koło i tak ustały wreszcie nieporozumienia i zatargi z ludźmi. Na widok tej nagłej zmiany, gniew tych ostatnich zamienił się teraz w podziw: z osłupieniem patrzyli po sobie pytając jeden drugiego, ktoby był ten ksiądz, skąd się wzięli i czego tutaj chcą ci chłopcy i t. d.

Na zapytania, gdzie się znajduje nowe O r a t o r y u m, zręczny dyrektor odpowiadał wymijająco, że właściwe O r a t o r y u m nie jest jeszcze gotowe; tymczasem niech przejdą do jego pokoju, który jest dość obszernym i na razie zastąpi *kaplicę świąteczną*. I zaprowadził ich zaraz do niego.

Chociaż, prawdę powiedziawszy, w pokoju tym chłopcy nie mogli bawić się z taką swobodą, jak to sobie byli przedtem wyobrażali, to jednak z chęcią poprzestali na tem, co im ofiarowano, i ogółem wziąwszy byli zadowoleni. Z drugiej strony brak wszelkich dogodności umiał X. Bosko zastąpić właściwą sobie ujmującą dobrocią; umiał ich zwłaszcza zabawić niewinnymi żartami, opowiadaniem dykteryjek i t. p. Wyjąwszy gry i zabawy, zresztą wszystko inne, a mianowicie część religijna zebrania, odbyła się prawidłowo. Był więc wykład katechizmu, X. Bosko opowiedział chłopcom budujący przykład, i wreszcie zaśpiewano pieśń do Matki Boskiej: słowem, odbyło się wszystko tak, jak dotychczas było w zwyczaju w kościele św. Franciszka z Asyżu. W niektóre święta udawano się nadto całą gromadą na Mszę św. raz do tego, to znowu do innego kościoła w mieście, a najczęściej do *Consolata* (kościoła M a t k i B o s k i e j P o c i e s z e n i a).

Wielkie zamieszanie wszczęło się jednakże w następującą niedzielę: do dawnych bowiem uczestników O r a t o r y u m przyłączyli się nowi z pobliskich zaułków, nie wiedziano więc, gdzie ich wszystkich pomieścić. Pokój księdza Bosko, przyległy korytarz, schody, wszystko to było zapełnione chłopcami.

Istny teatr zaś przedstawiał sposób, w jaki przygotowywano *kaplicę świąteczną*. Jeden zapalał ogień w kominku, drugi go gasił; ten zamiatał pokój, nie polawszy go wprzódy należycie wodą, tamten znów otrzepywał go z pyłu; jeden mył talerze, drugi je tłukł. Szczypczyki do ognia, łopatki, wiaderka, dzbanek, miednica, stołki, książki, ubrania, obuwie, — słowem, wszystko, czego się tylko chłopcy dotknęli, przewracali do góry nogami, podczas gdy starsi i uważniejsi chcieli je na nowo poukładać. X. Bosko widząc to śmiał się i zalecał tylko, by niczego nie potłukli i nie zepsuli.

W niemniejszym znajdowano się kłopocie, gdy chodziło o odbycie jakiej praktyki religijnej. Kilku z ówczesnych wychowanków O r a t o r y u m opowiadało mi, że kiedy rano w uroczystość Wszystkich Świętych tego samego roku 1844 zgromadzili się byli w owej ciasnocie i mało co przestronniejszych przyległościach, wszyscy chcieli się w owe święto spowiadać. Lecz jakżeż to można było uskutecznić? Było tylko dwóch spowiedników, ich zaś około dwustu, ściśniętych w pokoju i na korytarzu nieprzymierzając jak śledzie w beczce.

„Nie może tak iść dalej,“ rzekł wtedy X. Dr. Borel, „potrzeba nam koniecznie poszukać jakiegoś stósowniejszego miejsca.“

X. Bosko udał się więc do X. Arcybiskupa Fransoniego, zdał mu sprawę z tego wszystkiego, co się już było w O r a t o r y u m za jego zezwoleniem i z jego błogosławieństwem dokonało, przedstawił mu korzyści moralne, jakie dotąd odniesiono, i wskazał na dobro duchowe, które już w niedalekiej przyszłości można było w nader wydatnej mierze osiągnąć. W toku rozmowy przechodząc do chłopców, uczęszczających do *kaplicy świątecznej*,

powiedział między innemi: „Wielu z nich pochodzi z dalekich stron i spędzają w Turynie pewną tylko część roku: nie wiedzą nawet, do której parafii należą; wielu znowu posiada zaledwie jakie takie ubranie, mówią różnemi, trudnemi do zrozumienia narzeczami, niewiele więc z kazań rozumieją, ich samych również rzadko kto pojmuje. Niektórzy są już dorośli, nie śmią więc uczęszczać na naukę katechizmu do jednego oddziału, wspólnie z małymi. Chłopcy zaś, którzy są z miasta, jużto ponieważ są zaniedbani i samopas puszczeni od rodziców, jużteż ponieważ gonią za rozrywkami lub zostali zwiedzeni od złych towarzyszów, prawie nigdy, albo bardzo rzadko kiedy pokazują się w kościele.“

Nie potrzeba było więcej, by gorliwemu i dbałemu o dobro dusz, swojej pieczy powierzonych, X. Arcypasterzowi dać do poznania ważność przedsięwziętego dzieła. „Idź,“ rzekł do księdza Bosko, „i uczyń, co będziesz uważał za stosowne. Z mej strony daję ci pełną władzę i wszelkie dyspensy, jakich będziesz potrzebował; błogosławię tobie i twemu dziełu i nie zaniecham ci dopomagać, w czem tylko będę mógł. Z tego, co mi mówisz, widzę, że potrzebujesz obszerniejszego i stosowniejszego miejsca. Rozmów się z markizą Barolo; może ona będzie mogła dostarczyć ci dogodnego i niezbyt odległego od *Rifugio* lokalu.“

X. Bosko udał się zatem w tej sprawie do markizy Barolo, a ponieważ *szpitalik św. Filomeny* miał być dopiero otwartym pod koniec sierpnia następnego roku (1845), nie miała więc ta dobroczynna pani nic przeciw temu, by dla wygody chłopców zamieniono w kaplicę dwa obszerne pokoje, stanowiące część wystawionego przez nią co dopiero zakładu. Żeby się tam dostać, trzeba było przejść przez bramę dzisiejszego *szpitalika*, poczem idąc w kierunku uliczki, która rozłącza zakłady X. Cottolengo od *Rifugio*, dochodziło się do budynku, obecnie przeznaczonego na mieszkanie dla księży, skąd po schodach dostawano się nareszcie na trzecie piętro, gdzie się znajdowały owe wyż wzmiankowane dwa pokoje, mające na razie służyć za *kaplicę ściąteczną*.

To było owe miejsce, przeznaczone przez Boską Opatrzność na *pierwszy* kościół dla naszego Oratoryum. Otwarto go w dzień, który w Zgromadzeniu salezyańskiem na zawsze pozostanie w drogiej, nigdy niewygasłej pamięci: dnia 8go grudnia, w święto *Niepokalanego Poczęcia Najśw. Maryi Panny*, pod której opiekuńczy, macierzyński płaszcz X. Bosko na zawsze poddał był Oratoryum i swoich synów. W dniu tym X. Bosko za upoważnieniem X. Arcybiskupa poświęcił nową kaplicę na cześć św. Franciszka Salezego, pierwszy odprawił w niej Mszę i udzielił chłopcom Komunii św.

Niektóre okoliczności, towarzyszące uroczystemu aktowi poświęcenia, sprawiły, że funkcya ta kościelna wyryła się głęboko w pamięci pierwszych wychowanków Oratoryum.

Przedewszystkiem uderzało ubóstwo kaplicy. Brakowało w niej klęczników, ławek, krzeseł, i trzeba się było zadowolnić kilkoma staremi, kulawemi ławkami, jak również na poły rozlatującymi się i za lada poruszeniem grożącymi upadkiem zydlami. Co do tego punktu jednakże Opatrzność Boska przyszła niebawem Oratoryum w pomoc, a dobroczynność miłosiernych i o chwałę Bożą dbałych osób nie zaniedbała zaopatrzyć nowo urządzoną kaplicę w odpowiednie sprzęty.

Pora roku również nie mogła być gorszą; wszystko razem wziąwszy nie przeszkadzało wszakże, że chłopcy zebrali się w wielkiej liczbie: takie przywiązanie mieli do Oratoryum i do jegoż kierownika. Śnieg tego poranku spadł wysoki i nie przestawał padać gęstymi płatami, pokrywając ziemię, jak również stoki pobliskich gór gęstym całunem; niezadługo przyłączył się do niego wicher i zrobiła się na dobre zawierucha. Ponieważ zimno było nieznośne, musiano zatem do kaplicy wnieść wielkie naczynie żelazne z żarzącymi się węglami, a ten i ów sobie jeszcze przypomina, że pękały z trzaskiem, gdy je niesiono przez dziedziniec, a płatki śniegu zaczęły na nie padać.

Lecz co więcej niż wszystko inne wraziło się żywo w pamięć z nigdy niezapomnianych chwil owego uroczystego dnia, to łzy, jakie padały z ócz księdza Bosko w czasie, gdy sprawował święte ceremonie poświęcenia kaplicy. Płakał z radości, widząc, jak za łaską i pomocą Bożą Oratoryum coraz więcej poczęło się utrwalać, jak niemniej, iż ta nowa kaplica dopomoże mu przygarnąć większą niż dotychczas liczbę dziatwy i młodzieży, aby ją wychować po chrześcijańsku i oddalić od niej niebezpieczeństwo moralnego zepsucia i bezbożności, jakie coraz więcej między młodzieżą miejską grasować zaczęły.

Mógłby tu kto zapytać, dlaczego Oratoryum to było oddane w opiekę i nazwane na cześć *św. Franciszka Salezego?* — Odpo-

wiadam: stało się to głównie dla trzech powodów:

Nasamprzód, ponieważ markiza Barolo, chcąc przyjść w pomoc księdzu Bosko i założonej przez niego *kaplicy świątecznej*, zamierzała pierwotnie utworzyć tam Zgromadzenie kapłanów pod wezwaniem tegoż Świętego i w tej myśli kazała już nawet wymalować obraz św. Franciszka Salezego, który dziś jeszcze można widzieć przy wejściu do budynku, w którym kaplica się znajdowała.

Powtóre, ponieważ rodzaj duszpasterstwa, jakie X. Bosko począł pełnić wśród dziatwy i młodzieży wymagał ciągłego panowania nad sobą i niewyczerpanej łagodności, chciał się więc oddać pod szczególniejszą opiekę tego Świętego, który właśnie w powyższych cnotach był nieprześcignionym wzorem.

Oprócz tych dwóch był jeszcze trzeci powód. W tym czasie zaczęły się do Turynu i innych piemonckich miast i miasteczek pomiędzy prosty lud wciskać podstępnie różne sekciarskie nowinki, szczególnie Waldensów (piemonckich protestantów). Otóż X. Bosko chciał również przeciw tym wezwać pomocy tego wielkiego Świętego i za jego przyczyną wyjednać sobie u Pana Boga potrzebne światło i moc do skutecznego zwalczania tych samych nieprzyjaciół prawdziwej wiary, nad którymi św. Franciszek Salezy w ciągu swego życia ziemskiego, na większą chwałę Boga i podwyższenie Kościoła, a na pożytek niezliczonych dusz, odniósł był tyle i tak chwalebnych tryumfów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ŁASKI
WYJEDNANE ZA PRZYCZYNĄ
NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNY
WSPOMOŻENIA WIERNYCH.

Uzdrowienie bankiera.

X. Bosko odwiedził w czasie, gdy budował kościół *Matki Boskiej Wspomożenia*, pewnego dnia turyńskiego bankiera, senatora królestwa, barona COTTA, i zastał go niebezpiecznie chorym i prawie już umierającym.

—„Już to ostatni raz się widzimy,“ rzekł do niego chory głosem tak słabym, że zaledwie można go było dosłyszeć; „skończyło się wszystko, zapewne już jutra nie dożyję.“

—„Mylisz się, komandorze,“ odrzekł X. Bosko, „nie odejdziesz tak szybko. Najświętsza Panna potrzebuje jeszcze Ciebie na tej ziemi. Przydasz się jeszcze przy budowie Jej kościoła.“

—„Chętnie uczyniłbym jeszcze coś dobrego, ale lekarze nie robią mi już żadnych nadziei.

—„A cóżbyś Pan uczynił dla *Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki*, gdyby Cię uzdrowiła?“

—„Gdyby mnie uzdrowiła, dałbym na Jej kościół co miesiąc po 2,000 franków i to przez pół roku.“

—„A więc miej Pan nadzieję w pomoc *Najśw. Panny Wspomożenia*. Wracam natychmiast do Oratoryum i wzywam wszystko, co u mnie żyje, do modlitwy na intencyą Pańskiego życia. Gdy Pan wyzdrowiejesz, pamiętaj o Jej kościele. Tylko odwagi!“

W trzy dni później X. Bosko był w swoim pokoju, gdy mu zapowiedziano gościa. Był to baron Cotta, zdrów zupełnie, który przyszedł, aby złożyć *Matce Boskiej Wspomożenia* pierwszą ratę swego długu. Potem wiele jeszcze dla Jej kościoła świadczył.

Nawrócenie lekarza.

Pewien sławny lekarz turyński, powszechnie ceniony dla wielkiej biegłości w swej sztuce, przybył raz do Oratoryum św. Franciszka Salezego i oświadczył, iż pragnie widzieć się z X. Bosko. Gdy się jego życzeniu stało zadość, rzekł do kapłana:

—„Słyszałem, że ksiądz leczysz wszelkie choroby?“

—„Ja? — bynajmniej.“

—„Zapewniano mnie jednak o tem i wymieniono przytem nazwiska osób i rodzaje chorób.“

—„Przybywa tu wiele osób i prosi o łaski za pośrednictwem *Najświętszej Maryi Panny Wspomożenia Wiernych*. Jeżeli po odprawieniu triduum lub nowenny zdarzy się, że przychodzą do zdrowia, nie moja w tem zasługa; takie dobrodziejstwa przypisać należy Najświętszej Pannie.“

—„A więc niech i mnie uleczy, to w te cuda uwierzę.“

—„A na cóż Pan cierpisz?“

Lekarz opowiedział, że podlega epilepsyi (kurczom), że mianowicie od roku napady stały się tak silne, iż nie śmie sam wycho-

dzić i zawsze mu ktoś towarzyszy z obawy wypadku. Żadne dotąd środki nie nie pomogły; zrozpaczony przyszedł szukać tutaj uzdrowienia jak i tylu innych.

—„Jeśli tak, to uczyń Pan to, co czynią inni: uklęknij, pomódl się ze mną do Najśw. Panny, oczyść duszę przez spowiedź i Komunią św., a Najświętsza Panna Cię pocieszy.“

—„Każ mi ksiądz dobrodziej co innego, bo tego nie mogę uczynić.“

—„A to dlaczego?“

—„Z mojej strony byłoby to obłudą! Ani w Boga, ani w Najświętszą Pannę nie wierzę; nie wierzę również ani w modlitwy, ani w cuda.“

Ksiądz Bosko zrazu zamilkł, temi słowami przerażony, ale wkrótce, wezwawszy pomocy Bożej, przemówił do niego tak wymownemi słowy, że lekarz ukląkł i przeżegnał się.

—„Dziwi mnie to,“ rzekł, „żem nie zapomniał jeszcze się przeżegnać. Już czterdzieści lat mija, odkąd tego zaprzestałem.“

Poczem pomodlił się, odprawił spowiedź i natychmiast uczuł wewnątrz, iż został wyleczony. Od tego czasu napady kurczowe więcej razy się już nie powtórzyły, a nawrócony niedowiarek przybywał często do kościoła *Matki Boskiej Wspomożenia* dziękować Jej za wyleczenie go na ciele i na duszy.

Uzdrowienie żony oficera.

Dnia 24go maja 1878 r. właśnie w uroczystość *Matki Boskiej Wspomożenia*, zjawił się w Oratoryum św. Franciszka Salezego młody jakiś oficer. Na twarzy jego znać było boleść, a w głosie słychać było mocne wzruszenie.

—„Mój Ojcze,“ rzekł do X. Bosko, „żona moja oddawna dotkniętą jest ciężką chorobą. Mówią, że koniec jej jest bliski. Nie mogę się pogodzić z tą myślą. Strata jej byłaby dla mnie ciosem bardzo ciężkim. Błagam Cię, Ojcze, wyjednaj dla niej u Boga wyzdrowienie.“

Ksiądz Bosko przemówił do niego kilka słów pocieszających, a widząc, że cierpienie go dobrze usposobiło, skorzystał z tego, kazał mu uklęknąć i zmówił razem z nim kilka modlitw do *Matki Boskiej Wspomożenia* na intencyą chorej.

Oficer odszedł, lecz nie upłynęła godzina, gdy zapukał znowu do drzwi Oratoryum.

—„Muszę pomówić z X. Bosko,“ rzekł do odźwiernego.

—„Teraz nie można, bo przewodniczy właśnie zgromadzeniu dobrodziejów naszego zakładu, zebranych przy sposobności dzisiejszego święta i nie możemy go niepokoić.“

—„Proszę mu powiedzieć moje nazwisko i oświadczyć, że koniecznie potrzebuję widzieć się z nim przez chwilę.“

X. Bosko uczynił zadość tym naleganiom i wyszedł do oficera, którego twarz promieniała radością.

—„Czy wiesz, Ojcze? podczas mej bytności u Ciebie, żona moja, którą zostawiłem w domu prawie umierającą, uczuła nagle polepszenie i przyszła niezadługo do tego stopnia do sił, że kazała sobie podać suknie, ubrała się, a gdy powróciłem, wyszła na moje spotkanie zupełnie uleczona.“

Rzekłszy to, wydobył z kieszeni cenną złotą bransoletkę i podając ją księdzu Bosko, dodał:

—„Jest to podarunek, który dałem żonie w dzień ślubu. Za wspólną zgodą i z całego serca ofiarujemy go *Matce Boskiej Wspomożenia* w dowód wdzięczności za tak niespodziewane uleczenie.“

Ksiądz Bosko wróciwszy na posiedzenie, pokazał zebranym otrzymany dar i rzekł:

—„Oto dar wdzięczności za nowy cud uzdrowienia, otrzymany za przyczyną *Najśw. Panny Wspomożycielki*. Niech Jej święte Imię będzie pochwalone.“

Uzdrowienie kaleki.

Z rana dnia 4go czerwca 1874 r., w uroczystość Bożego Ciała, otwierając kościół *Najświętszej Panny Wspomożenia* w Turynie, znaleziono pod wielkiemi drzwiami leżącego człowieka. Zapytany, co tu robi, odpowiedział, że przyszedł prosić Najświętszą Pannę o uzdrowienie. Na życzenie jego zaprowadzono, a raczej zaniesiono go do zakrystyi, gdyż pomimo kuli, jaką się posługiwał, potrzeba było go prowadzić, tak miał nogi i ręce pokurczone; oprócz tego był prawie zgięty we dwoje.

W tym czasie kapłani zajęci byli spowiadaniem lub odprawiali Mszę św. Około godziny ósmej nadszedł X. Bosko do zakrystyi.

—„Czego sobie życzysz, przyjacielu?“ zapytał kalekę.

—„Proszę o błogosławieństwo *Najświętszej Panny Wspomożenia*, abym wyzdrowiał.“

—„A cóż ci jest?“

—„Jestem cały zreumatyzmowany, mam skutkiem tego pokurczone członki; lekarze

twierdzą, że to jest skutek choroby kości pacierzowej.“

—„Jakżeś ty tu przyszedł?“

—„Tej nocy pewien mój znajomy przyniósł mnie tu i złożył u drzwi kościelnych.“

—„Od jak dawna znajdujesz się w takim stanie?“

—„Od bardzo dawna; ale od dwóch miesięcy nie mogę władać rękami.“

—„Cóż mówią lekarze?“

—„Mówią, że mi nic nie poradzą. Więc moi krewni, przyjaciele i ksiądz proboszcz poradzili mi, abym się udał tutaj do *Najświętszej Panny Wspomożycielki*, gdzie tyle cudownych uleczeń się dokonywa.“

Ksiądz Bosko wysłuchawszy go, rzekł do niego:

—„Uklęknij.“

Nie mógł tego zrazu uczynić, ale przy pomocy obecnych i z wielką trudnością ukląkł.

Ksiądz Bosko pobłogosławił go.

—„Jeżeli wierzysz niezachwianie w pomoc Najświętszej Maryi Panny, otwórz rękę.“

—„Nie mogę, Ojcze.“

—„Możesz; zacznij od wyciągnięcia dużego palca.“

Spróbował i udało mu się.

—„Teraz wyprostuj palec wskazujący.“

I to się kalece udało i tak kolejno prostując resztę palcy, otworzył rękę. Uszczęśliwiony, przeżegnał się i zawołał:

—„Matka Boska udzieliła mi tę łaskę.“

—„Jeżeli ci Matka Boska tę łaskę uczyniła, oddaj chwałę Bogu i stań na nogach.“

Chciał pomagać sobie kulą, którą miał przy sobie, ale X. Bosko go powstrzymał.

—„Powinieneś okazać tyle ufności w Matce Przenajświętszej i wstać bez kuli.“

Kaleka uczynił to w jednej chwili. Znikło zgięcie krzyża, wyprostowała się kość pacierzowa, wyciągły się prawidłowo ręce i nogi; wyprostowany zaczął szerokimi krokami chodzić po zakrystyi.

—„Mój przyjacielu,“ rzekł X. Bosko, „trzeba teraz na dowód wdzięczności Najświętszej Pannie iść i uklęknąć przed Najświętszym Sakramentem.“

Uzdrowiony kaleka uczynił i to z największą łatwością, dziwiąc się zarazem tak szybkiemu i niepojętemu dla niego przyjściu do zdrowia.

—„Mój Boże! mój Boże! i któżby powiedział, że ja oddawna bezwładny byłem na całem ciele i we wszystkich członkach. Najświętsza Panno Wspomożycielko, módl się za mną, biednym grzesznikiem.“

Na odchodnem rzekł do niego X. Bosko:

—„Mój przyjacielu, przyrzeknij mi, że odtąd będziesz miał szczególniejsze nabożeństwo do Najświętszej Panny Wspomożycielki i że pozostaniesz dobrym chrześcijaninem.“

—„Przyrzekam i będę takim, jak żądasz, mój Ojcze; na przyszłą niedzielę wyspowiadam się i przystąpię do komunii św.“

Powiedziawszy to, wziął kulę na ramię jak broń i zupełnie pewnym krokiem opuścił kościół.

Uzdrowienie jenerała.

Było to 22^go^ maja, a więc dwa dni przed świętem *Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych*. Ksiądz Bosko w dniu tym dysponował na śmierć pewnego jenerała, mieszkającego w Turynie, ale ku zdumieniu obecnych nie udzielił mu komunii św., tylko rzekł do niego:

—„Jenerale, pojutrze obchodzimy święto *naszej Matki Wspomożenia*. Módl się jenerał do Niej gorąco, a Ona cię uzdrowi; na dowód zaś wdzięczności za uzdrowienie przyjdź tego dnia do Jej kościoła przyjąć komunią św.“

Nazajutrz stan chorego pogorszył się znacznie, śmierć zdawała się nieunikniona. Rodzina była w wielkiem zakłopotaniu, gdyż X. Bosko nie pozwolił udzielić mu św. Sakramentów podczas swojej nieobecności; nie chcąc atoli, aby chory opuścił świat ten bez Komunii św. i Ostatniego Namaszczenia, wysłała o godzinie 8^ej^ wieczorem posłańca do X. Bosko, aby go uprzedzić, w jak złym stanie był chory jenerał, dodając, iż obawiano się, ażeby nie umarł w nocy.

Tego dnia, jako w przeddzień święta tak uroczystego i drogiego Zgromadzeniu salezyańskiemu, X. Bosko siedział od rana w konfesyonale i słuchał wychowanków Oratoryum spowiedzi. Gdy posłaniec przyszedł po niego, on jeszcze był otoczony mnóstwem dzieci czekających, aż na nich przyjdzie kolej. Nie myślał też wcale gorliwy kapłan przerywać sobie ważnego tego dla niego zajęcia, ale rzekł do posłańca jeneralskiego:

—„Gdy skończę spowiedź, przybędę do twego pana.“

—„Ależ księże dobrodzieju, proszę natychmiast pójść ze mną; kto wie, czy ksiądz go przy życiu zastanie.“

—„Czyż nie widzisz, że spowiadam? nie mogę przecież tak zostawiać tego mojego biedactwa. Przyjdę, gdy skończę.“

O jedenastej skończył. U wrót Oratoryum czekał na niego powóz.

—„Zaklinamy księdza dobrodzieja, niech

się spieszy do chorego, który lada chwilę skona.“

—„Bardzo chętnie się pospieszę, ale od rana nic w ustach nie miałem i słabo mi. Jeśli nie zjem czego przed północą, będę musiał się obejść bez pożywienia, którego istotnie potrzebuję, gdyż od piątej rano muszę już być w konfesyonale. Pozwólcie więc, że się wprzód posilę.“

—„Znajdzie ksiądz dobrodziej u nas wszystko, czegokolwiek zapragnie, tylko spieszmy się.“

Wsiadają więc do powozu. Przybywszy do mieszkania jenerała, zaczęto na X. Bosko ze wszystkich stron nalegać:

—„Spiesz się, Ojcze, z chorym jest tak źle, że bodaj zdołasz mu jeszcze udzielić Sakramentów św.“

—„O ludzie słabej wiary! “ odrzekł X. Bosko, „czyż nie powiedziałem wam wczoraj, że jutro, tj. w święto *Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych*, jenerał przyjmie Komunią św. w Jej kościele na Valdocco? Północ blisko, proszę mi dać co zjeść.“

I ze zwykłym sobie spokojem, który go nigdy nie opuszczał, usiadł X. Bosko do zastawionego stołu. Po skończonej kolacyi poprosił o powóz; wsiadł do niego i odjechał do Oratoryum.

Tymczasem jenerał popadł w stan takiego odrętwienia, że myślano, iż umarł. Nie wiedziano, co o tem wszystkiem sądzić, a on spał sobie najspokojniej. Nazajutrz obudził się, kazał sobie podać ubranie i udał się zdrów zupełnie do kościoła *Matki Boskiej Wspomożenia*, żeby z rąk X. Bosko przyjąć Komunią św.

—„Otóż jestem, Ojcze,“ rzekł do ubierającego się w zakrystyi do Mszy św. księdza Bosko, który go w pierwszej chwili nie poznał.

—„Przepraszam, że się zapytam, z kim mam zaszczyt mówić?“ rzekł kapłan.

—„Jakto? nie poznajesz, Ojcze, jenerała?“

—„Niechże będzie pochwalona nasza Matka Wspomożenia! Czyż nie powiedziałem Panu, że w dzień święta Jej stawisz się w Jej przybytku?“

—„Mój Ojcze, chciałbym, abyś był tak łaskaw i wysłuchał mnie spowiedzi, ponieważ pragnę przyjąć Komunią św. w czasie Jego Mszy św.“

X. Bosko wysłuchał jenerała raz jeszcze spowiedzi, udzielił mu Komunii św., poczem tenże w najlepszem zdrowiu powrócił do domu.

Cud początkiem nawrócenia całego prawie miasta.

Często uzdrowienia cudowne wpływały na nawrócenie nietylko pojedyńczych osób, ale i szerszych kół ludności, jak tego dowodzi następujący wypadek.

Miasto włoskie San Pier d'Arena nie odznaczało się przed niedawnym nawet jeszcze czasem zbytnią pobożnością. Mieszkańcy jego tak byli pod względem zasad religijnych obojętnymi, że do obsłużenia 30,000 dusz wystarczał zupełnie jeden kapłan, a kościół stał prawie zawsze pustką. Zato królowały tam trzy loże masońskie i tłumiły w mieszkańcach resztki zarodków religijnych.

W tem to mieście zachorowała żona pewnego urzędnika kolejowego, matka pięciorga dzieci. Gdy lekarze orzekli, że niema dla niej żadnej już nadziei wyzdrowienia, zapytał ją ksiądz miejscowy, czyby nie chciała przyjąć Sakramentów św. Chora, nie będąca nigdy dawniej zbyt nabożną, czyniła pewne trudności, nareszcie oświadczyła, że się wyspowiada, ale przed X. Bosko.

Mąż jej, lubo zupełny niedowiarek, zgodził się na jej życzenie; zaczem proboszcz napisał do X. Bosko, aby jak najrychlej przybył. Ten zaś w tym właśnie czasie myślał nad tem, aby dom salezyański otworzyć w San Pier d'Arena i szukał tylko sposobu, w jakiby mu zamiar ten Opatrzność Boska pozwoliła uskutecznić. Pospieszył do chorej bezwłocznie.

Ta, gdy go wchodzącego do pokoju ujrzała, nadzwyczaj się ucieszyła. Ksiądz Bosko ją pokrzepił na duchu i zapewnił, że jeżeli gorąco modlić się będzie do *Matki Boskiej Wspomożenia*, to z pewnością zdrowie uzyska; potem ją wyspowiadał.

—„Co do Komunii św.,“ rzekł, „to najwygodniej przyjąć ją w kościele. Pobawię tu dni kilka, będę się za Panią modlił i każę się modlić mojej dziatwie, prócz tego odprawię Mszę św. na intencyą Pani. Proszę więc w tych dniach przybyć do kościoła, a udzielę Pani Komunii św.“

Na te słowa ozwał się oburzony mąż:

—„Księże dobrodzieju, są to niewczesne żarty. Widzisz ksiądz przecież, że żona moja umierająca, niezdolna zewlec się z łóżka, i do kościoła ją zapraszasz?“

—„*Najświętsza Panna Wspomożenia* wszystko u Boga wyjednać zdoła,“ odrzekł X. Bosko spokojnie, „pomódlmy się o to do Niej wspólnie.“

To rzekłszy ukląkł, to samo uczynił mąż chorej, ku wielkiemu zdziwieniu obecnych,

i odmówili wspólnie *Ojcze nasz*, *Zdrowaś*, *Chwała Ojcu* i *Witaj Królowo*.

—„Te modlitwy trzeba regularnie codzień odmawiać aż do Bożego Narodzenia (było to 10 grudnia 1872), proszę o tem nie zapominać,“ rzekł X. Bosko, zawiesił jeden medalik *Najśw. Panny Wspomożenia* na szyi chorej a drugi jej mężowi i wyszedł.

Chora uczuła natychmiast ulgę: boleści ustały, gorączka znikła i niebawem przyszła do zupełnego zdrowia. W kilka dni później przybyła z mężem już o bardzo wczesnej godzinie do kościoła. Gorąco odmawiała modlitwy dziękczynne i przyjęła potem Komunią św. z rąk księdza Bosko.

Na mężu cudowne to wyzdrowienie żony takie zrobiło wrażenie, że się zupełnie nawrócił. Powtarzał, że obecność księdza Bosko w San Pier d'Arena wróciła mu i żonę i pokój serca.

Uzdrowienie to jednakże wywarło wpływ nierównie szerszy. Całe miasto głęboko zostało niem poruszone i w umysłach zaszła zupełna przemiana. Bardzo wiele osób nawróciło się, kościół znowu się napełniał wiernymi, a obsłużenie ich duchowne tyle wymagało pracy, że musiano proboszczowi przysłać trzech wikaryuszów do pomocy.

Wkrótce w tem mieście przyszło do zbudowania zakładu salezyańskiego. Księdzu Bosko ofiarowano dom, w którym otworzył *kaplicę świąteczną* (oratoryum), a napływ do niego dzieci niebawem bardzo był liczny. Niedługo potem wzniesiono i kościół, w którym dziesięciu kapłanów salezyańskich ze zbawiennym skutkiem około dobra dusz pracuje.

Powołanie i uzdrowienie.

W 1868 r. niedaleko Fenestrelle w Piemoncie mieszkał młodzieniec, który co dopiero ukończył filozofią i miał ochotę wstąpić do zakonu, ale był sierotą, a dziadek i opiekun jego przeznaczał go do handlu, nawet poczynił kroki dla umieszczenia go w pewnym domu handlowym w Lugdunie.

Odjazd naznaczono na następną sobotę, ale w poniedziałek tego samego tygodnia przyszło do niego dwóch kolegów, którzy mu zaproponowali przedstawić się wspólnie z nimi księdzu Bosko, który tylko co przybył w te strony. Dwaj ci koledzy byli już drugi rok w seminaryum i słyszeli już dużo o księdzu Bosko, mieli przeto wielką ochotę go poznać, ale nasz kandydat na kupca nic o nim nie wiedział i poszedł z nimi tylko dla ich przyjemności.

Ksiądz Bosko ich przyjął i prawie nie zwracając uwagi na obydwóch seminarzystów, zwrócił się wprost do ich towarzysza. Wpatrzył się w niego uprzejmie i uważnie, a potem biorąc go za ręce, rzekł: „*Oto kos, którego trzeba wsadzić do klatki.*“

Młodzieniec doznał dziwnego wzruszenia, nie wiedząc nawet w pierwszej chwili dlaczego. Czuł, że powołanie do zakonu, chwilowo uśpione, ale nie wygasłe, z nową się siłą zbudziło. Rozmowa z księdzem Bosko utwierdziła w nim postanowienie poświęcenia się służbie Bożej, a rzecz dziwna, nawet dziadek bez trudności dał na to swoje zezwolenie.

W tym samym czasie przyprowadzono do księdza Bosko dwie małe dziewczynki, siostry, jedną 6 a drugą 8 lat mające, które prawie zupełnie wzrok utraciły. Jedna zaledwie rozróżniała dzień od nocy; druga, skutkiem chronicznego zapalenia, miała powieki silnie zamknięte.

X. Bosko poradził nowennę do *Matki Boskiej Wspomożenia*, kazał przez 9 dni z rzędu odmawiać codziennie 3 *Ojcze nasz*, 3 *Zdrowaś*, 3 *Chwała Ojcu* i *Witaj Królowo*, a młodemu studentowi polecił, aby matce i dzieciom przewodniczył w odmawianiu tych modlitw.

W ostatnim dniu nowenny obie dziewczynki wzrok odzyskały: jedna zupełnie została uleczoną, a drugiej, tej co miała powieki zamknięte, pozostała na oku mała plamka, która zresztą nie przeszkadzała widzieć.

Młodzieniec zaś, który z niemi nowennę odprawiał i był świadkiem niespodziewanego i nagłego ich uzdrowienia, nietylko został księdzem ale i Salezyaninem. Nazywa się Ronchail i jest dzisiaj jednym z wyższych Przełożonych salezyańskich we Francyi.

Najśw. Panna, Wspomożenie Wiernych, pomaga każdemu, kto do Niej z żywą wiarą się ucieka.

Z przyczyny nieszczęśliwego upadku, kiedy był jeszcze małem dzieckiem, syn mój doznał wstrząśnienia mózgu, które odtąd ujemnie oddziaływało zwłaszcza na jego władzę pamięciową, a przez tyfus i inne choroby, jakim następnie uległ, jeszcze bardziej stało się dokuczliwem. Następstwa upadku z czasów dziecięctwa dały się odczuć szczególnie wtedy, gdy ukończywszy szkołę elementarną wstąpił do gimnazyum. Nie mógł w żaden sposób postępować w naukach, tak że po czterech

latach daremnych z jego strony wysiłków byłem zmuszony chłopca, skądinąd dosyć zdolnego i rozwiniętego, odebrać z zakładu.

Przygotowałem go teraz prywatnie do seminaryum nauczycielskiego; jakoż po pewnym przeciągu czasu złożył wstępny egzamin i został przyjętym, lecz już po roku wrócono mi go napowrót.

Największem mojem staraniem było, by się dostał do pierwszej klasy seminaryum. Dzięki Bogu, już doszedł do tego. *Matka Najświętsza Wspomożycielka* mnie wysłuchała i pospieszyła chłopcu memu z pomocą.

Miałem niedawno temu sposobność uczestniczenia w ćwiczeniach duchownych, przeznaczonych dla nauczycieli Prus Zachodnich w stolicy biskupstwa chełmińskiego, Pelplinie. W czasie owych ćwiczeń błagałem, nieszczęśliwy ojciec, ze skruszonem sercem *Najświętszą Pannę Wspomożycielkę*, by się nad synem moim ulitowała, przyrzekając Jej zarazem, że jeżeli syn przejdzie do I klasy (do czego, po ludzku sądząc, nie było najmniejszej nadziei), poproszę XX. Salezyanów o odprawienie Mszy św. i ogłoszę tę łaskę w „*Wiadomościach salezyańskich*.“

Że prośba moja jest wysłuchaną, o tem nadmieniłem już wyżej.

Wyrażając zatem z serca płynące dziękczynienie *Najświętszej Maryi Pannie Wspomożycielce*, załączam niniejszem prośbę, by XX. Salezyanie odprawili Mszę św. dziękczynną na większą cześć Najśw. Bogarodzicielki i ogłosili tę nową łaskę w swoich „*Wiadomościach*.“

Bydgoszcz, w marcu 1897.

Konrad Kuczyński, nauczyciel.

Za przyczyną Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki wyzdrowiał

1. Michał Rajs, gospodarz z Miejsca piastowego, z bardzo ostrego zapalenia płuc;

2. Michał Węgrzyn, wychowanek Zakładu X. Bosko w Miejscu, z choroby „miserere;“

3. Józef (Albin) Kowalik, podobnież wychowanek Zakładu w Miejscu, ze zapalenia gardła (mowę był stracił zupełnie).

Ci trzej przyjęli już ostatnie Pomazanie i po ludzku nie było nadziei wyzdrowienia.

4. Edward Buchta, *syn Maryi Wspomożycielki* w tymże Zakładzie, miał wybuch krwi i trzy dni kaszlał i pluł krwią z płuc, skarżąc się na bolenie górnej części piersi. Po odmówieniu nad nim błogosławieństwa Najśw. Maryi Panny Wspomożenia uczuł się kompletnie zdrowym do tego stopnia, iż wstaje rano społem z innymi, pracuje ciężko fizycznie przy gospodarstwie rolnem i codziennie grywa na flecie w orkiestrze Zakładu przeszło godzinę jednym ciągiem.

Miejsce piastowe.

X. Bronisław Markiewicz.

X. I. Baraniecki, proboszcz w Czernelicy (Galicya) składa dziękczynienie *pro auxilio B. M. V. in necessitate.*

Franciszek Miękota z Królewskiej Huty (Górny Śląsk) składa publiczne podziękowanie Najśw. Pannie Wspomożycielce za otrzymanie słuchu.

Mikołaj Masalski z Lipin (Górny Śląsk) dziękuje Matce Boskiej Wspomożenia z całego serca za łaskę otrzymaną.

Cześć i dziękczynienie niech będzie Najśw. Maryi Pannie Wspomożenia Wiernych za otrzymanie wielu łask pożądanych i za szczęśliwą podróż bez uszkodzenia na zdrowiu.

Pernambuco (Brazylia).

Wojciech Urbanowicz, misyonarz.

Nadsyłam dziś resztę obietnicy mojej dla *Wspomożycielki Wiernych* (marek 20). Polecam się z dusznymi i cielesnymi kłopotami mymi najłaskawszej, wielowładnej pamięci Waszej u stóp i ołtarza *Wspomożenia Wiernych*, *Najśw. Maryi Panny*, którą gorąco miłuję i w Niej całą nadzieję i niezachwianą ufność, bez zawodu, pokładam.

Mechowa pod Puckiem (Prusy Zach.).

X. T. B.

Marya Ratomska z Wiednia dzięki składa za łaskę otrzymaną.

AVE MARIA

Z MISYI

Santa Fe de Bogota (rzeczpospolita kolumbijska, Ameryka południowa).

Czcigodny Księże Dobrodzieju,

Mocno mnie zajęły wiadomości, przysłane mi łaskawie przez księdza Dobrodzieja. List Wasz otrzymałem 19go kwietnia rb. Wielce się nim ucieszyłem. Przepraszam, żem dotąd nie dał o sobie żadnej wieści od czasu mojego wyjazdu z Turynu, gdzieśmy społem tyle czasu byli przepędzili.

Jechałem przez Paryż. W porcie Saint Nazaire wsiedliśmy na okręt i stamtąd puściliśmy się w podróż oceanem Atlantyckim. Podróż nasza morska trwała 24 dni i nocy; była nadzwyczaj przykra i niebezpieczna. Nieustannie trapiły nas wiatry i burze straszliwe.

Mijaliśmy różne wyspy, ale nic nas nie bawiło, albowiem strach i choroba trzymały nas w przygnębieniu. Kleryk **Eterno**, który był *asystentem*, czyli przewodnikiem naszej starszej młodzieży w kolegium Valsalice pod Turynem, przypłacił nawet podróż życiem; umarł nam na morzu. Kapitan okrętu, Francuz, chciał go pochować w morzu, jak to bywa zwyczajnie; lecz na usilne nasze prośby dał się ubłagać, aby ciało było złożone w ziemi, skoro okręt przybije do brzegów amerykańskich. I tak urządziliśmy pogrzeb naszemu towarzyszowi w mieście portowem Guayra, należącem do rzeczypospolitej Venezueli.

Nareszcie zbliżyliśmy się do stałego lądu Ameryki i zawinęliśmy do portu Savanika. Tam spotkaliśmy ludzi rosłych, silnie zbudowanych i na pół dzikich. Mieli na sobie tylko spodeńki, jakich w Europie używa się do kąpieli; zresztą byli nadzy. Prawda, że był upał nie do zniesienia.

Wyszedłszy z portu przybyliśmy do pobliskiego miasta Barranquilla, na ulicach którego pełno było piasku, kamieni i wiele nieporządku. Ludność przewrotna i zła. Ku wieczorowi było; szukaliśmy wszędzie noclegu, ale nie chciano nas przyjąć nigdzie. Nareszcie przyjęto z nas tych tylko w jednem miejscu, którzy byli przebrani po świecku. Księży nie chcieli, mówiąc: „*księża przynoszą tylko nieszczęście w dom.*“ Co za ludzie!

Dnia następnego wsiedliśmy na rzece *Magdalena* na niewielki parowiec, obsługiwany przez ludzi czarnych, z którymi trudno nam było się rozmówić. Rzeka *Magdalena* jest szeroka i głęboka, ma wodę bardzo mętną, między innemi także z powodu mnóstwa krokodyli, w niej gospodarujących. Te bestye pożerają tam co rok nie mało ludzi. Oba brzegi rzeki są zarośnięte lasem odwiecznym, w którym roi się mnóstwo dzikich zwierząt: lwów i tygrysów.

Gdzieindziej wygląda w nim szatra uboga, czyli namiot rodziny indyjskiej. W tym lesie żyją węże grubości pnia drzewa.

Podróż rzeką *Magdalena* trwała 8 dni i nocy. Często spostrzegaliśmy wśród podróży gromady krokodyli, zbitych w kupy z rozdziawionemi paszczami; nieraz narachowaliśmy ich 60 razem. Za zbliżeniem się statku chroniły się spiesznie pod wodę.

Wysiadłszy z parowca, odbywaliśmy dalszą podróż na koniach i mułach, pnąc się po spadzistych i stromych górach coraz wyżej a wyżej. Często trwoga nas przejmowała, aby się w przepaść nie stoczyć.

I taka podróż po górach trwała 4 dni bez wytchnienia prawie.

Potem przybyliśmy na równinę jedną, ale pełną bagien i błota, w którem widzieliśmy tu i owdzie szkielety z ugrzęźniętych koni, mułów i innych zwierząt. Było tam niegdyś przestronne jezioro, które zostało zawalone odłamami i usypiskami okalających je wysokich i stromych gór. I wreszcie stanęliśmy u celu naszej podróży, w mieście Bogota. Podróż nasza cała trwała 40 dni. Wyjechaliśmy bowiem z Turynu dnia 3go stycznia, a do Bogota przybyliśmy 13go lutego.

Jestem prawie pod samym równikiem na wysokości kilku tysięcy stóp po nad poziomem morza. Mamy tutaj przez cały rok zawsze 12 godzin dnia i 12 godzin nocy. Jest tu nieustająca wiosna. Ale ponieważ miasto jest bardzo wysoko położone, mamy rzadkie powietrze, którem z trudnością się oddycha. I stąd są tutaj choroby różnego rodzaju, a kraj jest mało zaludniony.

Obszar całej rzeczypospolitej kolumbijskiej jest 3 razy większy, aniżeli obszar Francyi, która liczy 38 milionów mieszkańców, gdy tymczasem w Kolumbii jest ich tylko 4 miliony. Mówi się tutaj po hiszpańsku, narzeczem kastylijskiem. Charakter ludności jest niestały i nadzwyczaj burzliwy. Niema roku prawie, aby nie zrobiono tutaj rozruchu przeciw rządowi albo przeciw zakonom. Najwięcej ze zakonów prześladowani są tutaj OO. Jezuici i Salezyanie. Roku zeszłego był spisek rzemieślników, aby wszystkich Salezyanów wyrznąć, gdyż przez swoje warsztaty, w których uczą ubogich chłopców, czynią im konkurencyą. Rząd przed czasem wykrył spisek i nas obronił, a ministra oświaty Serda, który nieoględnem jakiemś słowem miał dać powód do tego, przetrzepały panie tutejsze parasolkami przy pierwszem spotkaniu na mieście. Są to kobiety nie lada. Przed 9 laty, kiedy wolnomyślni byli u steru władzy, zrobiły rewolucyę i wygrały.

Mamy tutaj trąd, chorobę bardzo brzydką, o której Ewangelia wspomina. Pochodzi ona głównie ze życia zmysłowego i niemoralnego. Rząd tutejszy wysyła trędowatych do osobnych lazaretów czyli szpitali. Takie lazarety są w Santander, Zima i w Agua de Dios. W tem ostatniem miejscu są Salezyanie Ojcami duchownymi; cho-

tych mają tam około tysiąc. Wszystkich trędowatych, umieszczonych w lazaretach rządowych, jest około 4 tysiące. Atoli drugie tyle ukrywa się po domach wśród rodzin; w samem mieście Bogota liczą około tysiąc trędowatych, którzy po największej części przychodzą do kościoła Salezyanów w celu spowiadania się i komunikowania. Przy komunii św. odkrywają swoje twarze i dają się poznać kim są. Z innych kościołów ich wypędzają.

Za przysłane intencye Serca Jezusowego Bóg zapłać. Otrzymałem także książeczkę: „*Zasady i rady św. Franciszka Salezego*," drukowane we Lwowie. Serdecznie za nią dziękuję. Od pięciu lat nie słyszałem polskiej mowy. A trwam na stanowisku, bo się codziennie modlę do **Najśw. Panny Wspomożenia Wiernych** o łaskę wytrwania w powołaniu zakonnem, stósując się do rady, danej mi przez ks. Dobrodzieja. Mamy tutaj własną kapelę, z 50 muzykantów składającą się. Ja grywam na klarnecie. Proszę do mnie pisywać i polecić innym, aby do mnie pisywali.

Oddaję księdza Dobrodzieja Panu Jezusowi i Matce Jego.

Kochający w Bogu brat

Filip Kaczmarczyk.

Rosario, dnia 7 lutego 1897.

Wielebny Księże Redaktorze,

Już dwa miesiące upłynęły, odkąd przybyliśmy do Ameryki, do Buenos-Ayres, ale niedługo mieliśmy tu pozostawać, bo zaraz po ukończeniu ćwiczeń duchownych, 23go stycznia, rozesłano nas po jednemu do różnych stron republiki argentyńskiej.

Wprawdzie nie umiem powiedzieć, dokąd który z kolegów został posłany, gdyż ja pierwszy otrzymałem wiadomość o przeznaczeniu mojem do Rosario, kiedy drudzy jeszcze go się dopiero spodziewali. — Zaraz nazajutrz, po odebraniu wiadomości, nastąpiła podróż okrętem, która trwała więcej niż jedną dobę; była to bardzo miła podróż, albo raczej przejażdżka, na spokojnych wodach *Rio de La Plata*. — Lecz zanim postąpię dalej, muszę wyznać, że przykro mi było bardzo rozstać się z resztą mych kolegów, by sam jeden udać się pomiędzy nieznane sobie osoby, w nieznane strony, a co dotkliwsze, że nie miałem usłyszeć więcej dźwięków ojczystej mowy, lecz jako początkujący łamać sobie głowę nad cudzymi wyrazami. To wszystko zasmucało mnie niezmiernie i niedawało mi spokoju aż do ostatniej chwili. Lecz dzięki Bogu, jak nie wszystko jest tak czarne, jak na pierwszy rzut oka się przedstawia; tak nie wszystko poszło tak źle, jak to wpierw sobie wyobrażałem: bo zaledwie doszłwieść do uszu mego przyszłego Przełożonego, który tu obecnie bawił w Buenos-Ayres wraz z kilku innymi, wziął mnie zaraz pod swoją czułą opiekę, a że jest Włochem, mogliśmy się zatem rozmówić do woli. Przed samym zaś wyjazdem poszliśmy jeszcze do naszego Biskupa, X. Cagliero, dla otrzymania jego błogosławieństwa; po odebraniu tegoż niebawem udaliśmy się tramwajem do portu, gdzie parowiec, *Golondrina*, już stał przygotowany do odjazdu. Maszyna okrętu niedługo po naszem wejściu na statek zahuczała na znak odjazdu i zanim usadowiliśmy się na dobre w wyznaczonej nam kabinie, ujrzeliśmy się oddaleni szeroką przestrzenią od Buenos-Ayres. Teraz wszyscy wyszli na pokład, by poić się pięknym widokiem niknącej w oddali stolicy, której dość gęste, w niebo strzelające wieże zdawały się nas żegnać smutnie, dopóty zdołały nas dosięgnąć swym wzrokiem. Ale niezadługo i te znikły, a parowiec coraz więcej posuwał się naprzód, wzruszając głęboko wody spokojnie płynącego *Rio*. — Ten *Rio*, jakto już wiadomo, jestto rzeka tak szeroka,



Grób kl. ETERNO w La Guayra.

że nie można okiem dojrzeć przeciwnego jej brzegu i zdaje się być więcej morzem, niż rzeką; ale ta szerokość zwęża się coraz więcej tak, że już tuż przy zlewie mniejszych dwóch rzek, tworzących go, można okiem zmierzyć jego szerokość.

W miejscu zaś, gdzie się zlewają wody obu tych rzek, wznosi się wysepka z warownią wojskową. Piękny jej widok już z daleka uderzył oczy wszystkich naszych podróżnych, którzy z ciekawością przyglądali się jej, ale powabny ów urok ginął, czem więcej przybliżaliśmy się do niej, zamieniając się w czarne, gołe skały, na których spieczonym grzbiecie wznosi się wieża z chwiejącym się u góry sztandarem rzeczypospolitej argentyńskiej.

Na pochyłościach zaś skał, a u stóp wieży, rozłożyły się liczne, wspaniałe domy, rozdzielone w różne rzędy szerokiemi, prostemi ulicami, które z okrętu wygodnie można było widzieć. — Cały obszar tej wyspy wynosić będzie około trzech kilometrów kwadratowych. I to była pierwsza wyspa, ktorą natrafiliśmy w tej podróży, i ta była początkiem rozlicznych innych wysepek, gęsto porozrzucanych tu i owdzie po szerokim *Rio*, które dziwnie łudzą oczy podróżnych.

Tak swobodnej a rozkosznej podróży, jak ta, w życiu mojem jeszcze nie odbyłem. Tu nie można się było dosyć uraczyć tą pięknością, w jaką tu natura hojnie się rozlała; wprawdzie piękny jest widok Oceanu, lecz niknie *(risum teneatis)* w porównaniu do *Rio:* bo jego piękność jednostajna jest ckliwa i męcząca dla podróżnika, a *Rio* przeciwnie zawsze ma coś nowego dla rozrywki w swych pełnych życia krajobrazach. Wody Oceanu ciągle wzburzone bałwanami tak, że nigdy nie można w nich widzieć twarzy budzącego się słońca i przypominają więcej szerokie, czarne pola poorane; tutaj zaś wręcz odwrotnie: tu wschodzące słońce z całą swą pięknością przegląda się swobodnie, niby w zwierciadle, w spokojnej powierzchni *Rio.* Wyspy w swym majowym ubiorze także doznają od niego tej samej przysługi; jednem słowem: tu cała natura wydaje się podwajać swą piękność w jego wodach.

Lecz muszę poprzestać, bo zdaje mi się, żebym nie skończył na wychwalaniu tej piękności, gdybym miał tylko poprzestać na jej opisie, ale że to nie było moim zamiarem i tylko przypadkiem to uczyniłem, poprzestanę na tem, by przejść wreszcie do tego, co mnie więcej obchodzi, to jest, by dać Księdzu Redaktorowi wiadomość o zmianie miejsca.

Dom ten, w którym obecnie się znajduję, jest nowy, otworzony dopiero przed dwoma laty, dlatego jest dopiero w swych początkach, i nie miał dotąd dosyć czasu do rozwinięcia się. Dziedziniec jest obszerny, jak we V a l s a l i c e, jest otoczony murem ze strony północnej i zachodniej, w stronie zaś południowej stoi kaplica, a we wschodniej domostwo całe, należące do nas, nie dłuższe nad sześćdziesiąt metrów. W środku dziedzińca stoi z desek sklecona i blachą pokryta stolarnia; w tej to właśnie ja mam do czynienia jako asystent rzemieślników.

Położenie tutaj jest dosyć piękne w bliskości *Rio*, tak, że można widzieć maszty okrętów z naszego dziedzińca.

Co się tyczy mnie, to jestem zupełnie zadowolony ze wszystkiego, zdrowie mi także służy dosyć dobrze, z Hiszpanami też się już potrafię nieco porozumieć w ich języku, i mam nadzieję, że niezadługo będę mógł też nieco dopomódz i w szkole.

Na tem zakończę. Innym razem napiszę więcej, bo teraz jeszczem się nie zapoznał dobrze z tą nową ojczyzną, dlatego nie mogę na razie dać obszerniejszych o niej wiadomości.

Wreszcie upraszam księdza Dobrodzieja, by mi raczył przysyłać **„Wiadomości salezyańskie,"** począwszy od pierwszego numeru; i proszę także nie zwlekać z odpowiedzią, przedewszystkiem zaś pamiętać o mnie w swych modlitwach.

Kl. Wojciech Liberski.

I.

La Marsa (rejencya Tunis, Afryka)
15 września 1896.

SZANOWNY KSIĘŻE REDAKTORZE,

Niech Wielebny X. Dobrodziej i wszyscy moi rodacy wybaczą, że tak długo nie pisałem. Nie mógłem na prawdę chwilki czasu znaleść, aby podróż moją opisać, bo każdodziennie było coś pilnego do czynienia, zatem musiałem wszystkiemu dać spokój i brać się do zajęcia. Nareszcie uprzątnąwszy się z tem, co było najważniejsze i najpilniejsze, mógłem się zabrać do napisania listu.

Zaczynam opowiadanie od wyjazdu z G e n u i.

Dnia 8go listopada o godzinie 7 wieczorem znalazłem się już na statku, który się nazywał *Arabia.* Na statek odprowadzili mnie kl. Stefan Duda i X. prefekt z naszego kolegium w S a n P i e r d'A r e n a. O paszport nikt mnie nie pytał. Jak tylko wszedłem na okręt, zaraz mnie służący zaprowadził do kabiny, w której zostawiłem walizkę i paletot, poczem wyszedłem na pokład, skąd pyszny przedstawiała widok morzem światła oblana G e n u a. W chwilę później kl. Duda wraz z X. prefektem wrócili do kolegium, ja zaś udałem się do mej kabiny i tam pozostałem aż do odjazdu. O godzinie jedenastej w nocy statek wyruszył nareszcie z portu, a skoro tylko począł się kołysać na jedną i na drugą stronę, to prawie wszystkim pasażerom i w głowach się zakołysało. Co do mnie, urządziłem się praktycznie: poszedłem sobie do sypialni i przespałem się smacznie aż do 7ej rano.

O 8ej rano statek nasz zawinął do przystani w L i v o r n o, gdzieśmy się zatrzymali aż do północy. Około godziny 12ej puściliśmy się nareszcie znowu na otwarte morze i płynęliśmy przez całą niedzielę, dzień i noc, aż do poniedziałku rana.

Z G e n u i aż do L i v o r n o było nam wszystkim bardzo wygodnie i przestronno, lecz w L i v o r n o wsiadło na statek blisko 500 emigrantów włoskich;

zabrali ze sobą całą swoją chudobę, opakowali się masą różnych towarów, razem z nimi wciągnięto z jakie 25 mułów, to też było pomiędzy nimi tak ciasno, że nie można się było przecisnąć. Zresztą choćbym był nawet chciał zajrzeć do nich na chwilę, nie mógłbym tego uczynić, gdyż wzbroniono nam przechodzić z drugiej klasy do trzeciej, gdzie oni się znajdowali. Zato mógłem się nasłuchać aż do przesytu co rozmawiali o Polakach w ogólności, a szczególnie o naszych emigrantach, udających się do Brazylii. Mówili bez ogródki, że *są czarni i obrzydliwi (che fa schifo a vederli)* i wiele innych rzeczy; Niemców przeciwnie wychwalali, że są *gente istruita* (wykształceni) e *molto avanti* we wszystkiem i t. p.

11go listopada nad ranem o godzinie 6ej zbliżyliśmy się do portowego miasta Cagliari na wyspie Sardynii, dla gęstej mgły jednakże, jaka wówczas zalegała była morze, nie wpłynęliśmy do przystani, lecz spuściwszy kotwicę zatrzymaliśmy się na otwartem morzu i staliśmy tak aż do 9ej, bo nic nie było widać, a bano się posuwać naprzód, żeby się jakie nieszczęście nie wydarzyło. Około 9ej mgła nareszcie opadła, mogliśmy przeto spokojnie zawinąć do portu. W samem Cagliari nie byłem, przyglądałem mu się tylko z pokładu naszej *Arabii.* Miasto to, zbudowane na pagórku, przedstawia od strony morza wcale piękny widok. Prócz mnie prawie wszyscy towarzysze podróży z mojej klasy wysiedli na ląd: byli to z małymi wyjątkami ludzie bezbożni, to też nie dziw, że w ich rozmowach nic dobrego nie można było usłyszeć, jak same obrzydliwości i tak sprosne przekleństwa, że aż uszy trzeba było sobie zatykać. Znajdowały się w tejże samej klasie dziewczęta, które co do sposobu zachowania się niczem się od nich nie różniły: łatwo sobie zatem wyobrazić, co tam za rozmowy się prowadziły i jakie wyrazy padały.

Wieczorem o godzinie 7ej puściliśmy się nareszcie w dalszą podróż, ale już ze zmniejszoną załogą: ubyła mianowicie prawie cała trzecia klasa, gdyż w Cagliari wysiedli wszyscy włoscy emigranci. Tej nocy morze zaczęło się srożyć nieladą, a my na nowo z jednej strony na drugą kołysać, nie przyszło jednakże, chociaż się tego powszechnie spodziewano, do rzeczywistej burzy. O 5ej rano, z powodu gęstej mgły, o małośmy się nie strzaśli z jakimś płynącym mimo statkiem. Opatrzność Boska jednakże czuwała nad nami i uchroniła nas od nieszczęścia: przeszedł mimo nas tak blisko, że o mało się nie otarł o nasz okręt; moglibyśmy wcale wygodnie rozmawiać z jego załogą.

Reszta podróży przeszła spokojnie i tak dopłynęliśmy nareszcie do Tunis.

Zsiadłszy ze statku, każdy z moich towarzyszów podróży udał się w swoją stronę, a ja sam pozostałem otoczony gromadą Arabów. Oglądałem się na wszystkie strony, czy nie zjawi się kto ze współbraci salezyańskich, lecz nikt się w porcie nie zjawił. Cóż było robić? Wsiadłem na pierwszy lepszy tramwaj i puściłem się do miasta; dojechawszy do kościoła katedralnego wysiadłem, wstąpiłem do niego i w zakrystyi pokazałem mój t. z. *list posłuszeństwa (lettera d'ubbidienza),* jak mi to był X. Durando polecił zrobić. Stamtąd odesłano mnie na sameż miejsce mego przeznaczenia, t. j. do La Marsa. Tutaj napotkałem na dworcu powóz X. Biskupa, czekający na niego; lecz ponieważ tenże nie przybył, woźnica zaś trudności nie robił, zatem mało myśląc wsiadłem do biskupiej landary i przybyłem tak do naszego domu.

Pierwsze pytanie X. dyrektora Josephidi było, czy jestem Włochem lub Francuzem. Odpowiedziałem, że jestem Polakiem i przypomniałem się zarazem jego pamięci z czasu rekolekcyi, jakie odbywał we Valsalice, w którym to czasie dość często miałem sposobność służenia mu do Mszy św. Istotnie przypomniał mnie sobie, tem łatwiej i prędzej zatem poznajomiliśmy się. Po południu poobwodził mnie po całym domu, następnie poszedł się przebrać, mnie również kazał wdziać ubiór odświętny i poszliśmy z wizytą do X. Arcybiskupa, który ma swój pałac niezbyt daleko od naszej posiadłości. Nie mógłem z X. Arcypasterzem rozmawiać wprost, gdyż mówi tylko po francusku i arabsku, ja zaś dotychczas żadnym z tych dwóch języków nie władam, X. dyrektor więc służył za tłómacza i pośredniczył w rozmowie. Od niego udaliśmy się w odwiedziny do X. Biskupa, sufragana kartagińskiego, mieszkającego opodal na wysokim pagórku. X. Biskup przyjął mnie również bardzo życzliwie i życzył mi powodzenia na nowem dla mnie stanowisku i w nowym kraju; ponieważ zna język włoski, mógłem więc z nim osobiście rozmawiać. Na domiar łaskawości zeszedł z nami na dół i obeszliśmy wspólnie cały jego ogród i to, co tu nazywają *proprietà* (własność). Na tym obszarze wznoszą się dwa pałacyki: jeden jest własnością X. Arcybiskupa, a w drugim przemieszkuje jego sufragan, my zaś Salezyanie mamy swój dom i posiadłość w środku pomiędzy nimi. Posiadłość nasza nie jest wielka: będzie tak długa i szeroka, jak połowa Turynu. Jest cała wysadzona winogradem muszkatowem, drzewami figowemi, pomarańczowemi, cytrynowemi, migdałowemi, granatowemi i t. d. Co innego, np. zboże, zapewneby się tu nie udawało, po pierwsze, ponieważ ziemia nie po temu, a potem deszcze są bardzo rzadkie, a upały straszne.

Krajowcy, jakich dotąd spotykałem, są to po większej części Arabowie, cery ciemnobrunatnej. Mówią oczywiście przeważnie po arabsku, wielu z nich jednakże umie po francusku i po włosku. Za pokrycie głowy służy im czerwony *fez* z kutasem czarnym albo niebieskim, z pod *fezu* spada im na ramiona kawał białego płótna. Włosy strzygą tuż przy skórze, pozostawiają jednakże na wierzchu głowy długi kęs (osełedec), którego nigdy nie dają sobie ustrzydz, a noszą go na to, ażeby po śmierci prorok (Mahomet) miał za co wciągnąć ich do nieba.

Nie tak dawno temu w mieście Tunis pewien golibroda figlarz ustrzygł jakiemuś Arabowi ów kęs włosów, tak bardzo cenny w oczach prawowiernych mahometanów. Arab udał się z tego

powodu ze skargą do sędziego, żaląc się gorzko na golarza i wykazując niebezpieczeństwo, w jakiem się obecnie znajdował. „*Gdybym ja teraz umarł,*“ dodał, „*to za co by mnie Mahomet do nieba wciągnął?*“ Sędzia (rodem Francuz) nie zapatrywał się na tę sprawę tak tragicznie i kazał muzułmanowi być dobrej myśli. „*Bądź spokojny,*“ rzekł mu, „*jeżeli umrzesz, zanim ci włosy odrosną, to cię twój prorok wciągnie do nieba za uszy.*“ I na tem się skończyło.

Byli nas tu niedawno odwiedzić X. Cerutti z X. Bertello; zatrzymali się u nas tydzień. Oglądali dom w Tunis, który chcieli nabyć na **Oratorio festivo** (kaplicę świąteczną). X. Cerutti cieszył się, gdym mu powiedział, że jestem bardzo zadowolony z mego zajęcia, i dodał, że X. dyrektor jest ze mnie kontent.

Wszystkich jest nas obecnie 26, z których siedmiu Salezyanów, a 19 chłopców.

Jestem dzięki Bogu zdrów i wesół, czego również X. Dobrodziejowi i wszystkim rodakom z całego serca życzę.

II.

Dawno już zabierałem się do pisania listu do Wielebnego X. Dobrodzieja, lecz teraz, zachęcony zwłaszcza liścikami Jaworka i Hlonda, już go więcej nie chcę odkładać. Bo widzę, że i moi kochani rodacy o mnie jeszcze nie zapomnieli: ot jeszcze w przeszłym tygodniu np. otrzymałem od nich listy, które mnie bardzo zajęły. Między innemi dowiedziałem się, że począwszy od Nowego roku mają wychodzić **„Wiadomości salezyańskie“** w języku polskim, co mnie (jak zapewne wszystkich bez wyjątku rodaków) nadzwyczaj ucieszyło. Oczekuję ich z niecierpliwością i pragnę, żeby wyszły jak najprędzej.

Na wstępie niniejszego listu nadmienię coś o ruinach starożytnej Kartaginy, od których zaledwie kwadrans drogi jestem oddalony. Ile razy mi się jej nazwa obije o uszy, tyle razy przypominają mi się wraz zdania z książki do tłómaczenia **Schultza**, w których ona była wspominana, a któreśmy we **Valsalice** musieli w szkole łaciny trapić i mieć się przytem dobrze na baczności, żeby przypadkiem pejsy nie były w robocie. Ile razy zaś się do jej ruin zbliżam, zawsze mi się wydaje, że w jakim ich załomie napotkam dzielnego **Hamilkara**, a zwłaszcza wielkiego jego syna, **Hannibala**; na kupie zgliszczy siedzący i po pracy odpoczywający Arab przywodzi mi na myśl **Mariusa**, siedzącego na gruzach Kartaginy, zemstą pałającego a przemyśliwającego nad odzyskaniem utraconej władzy.

Sameż ruiny zwiedziłem już kilkanaście razy. Pracuje w nich dużo Arabów i wydobywają na wierzch wielkie kawały marmuru, potrzaskane kolumny, połamane pomniki i wiele tym podobnych rzeczy; odkryli przytem kilka wodociągów, kilka studzien z wcale dobrą wodą i t. p. Opłacają ich zakonnicy, których pospolicie nazywamy wszyscy *białymi Ojcami.* Są to Francuzi. Mają dom bardzo blisko ruin. Wszystko, co w nich Arabowie znajdują, to oni składają w osobnem muzeum.

Co się tyczy Arabów, to już kilka miesięcy mija, odkąd żyję pomiędzy nimi i mam z nimi do czynienia. Miałem więc dosyć już czasu i sposobności, ażeby im się bliżej przypatrzeć. Cel ich życia i wszystkich czynności jest wprost przeciwny naszemu; bo naszym celem jest większa chwała Boża, krzyż i praca, oni zaś o czem innem nie myślą, jak tylko o używaniu dóbr doczesnych, ile się tylko da. Pracować nie lubią; to też wylegują całymi dniami gdzie w cieniu i leżeliby tam zawsze i ciągle, gdyby ich głód z miejsca nie ruszył.

Co piątek obchodzą święto po meczetach, do których wstępują boso, trzymając sandały (lekkie obuwie) w ręku i kładąc je za sobą; chrześcijanom wzbraniają surowo wstępu do tych swoich świątyń. Odbywali także niedawno temu post, który oni nazywają **ramadan**, a który trwa 28 dni. Post ten mahometański odbywa się w następujący sposób.

Począwszy od wschodu słońca aż do zachodu nie jedzą nic, ani nie piją, fajek również nie palą. Po zachodzie słońca w każdej wiosce rozlega się wystrzał; jest to znak, że mogą jeść, pić, fajki kurzyć i co tylko zechcą robić. To też przez całą noc jedzą i piją bez miary, nieprzymierzając jak zwierzęta, ile przygotowane zasoby starczą a żołądek strawić może. Skoro tylko słońce zacznie wschodzić, daje się powtórny znak za pomocą wystrzału: rozpoczyna się znowu całodzienny post, jak dnia poprzedzającego.

Taki sposób odbywania postu jest zapewne niczem dla zamożniejszych Arabów: ci bowiem we dnie śpią, a nocami ucztują. Inaczej się jednakże rzeczy mają z biedakami, którzy muszą we dnie ciężko pracować na kawałek chleba: po kilku godzinach pracy już zaczynają ustawać i przez resztę dnia co chwilę odpoczywają; głód ich morzy, słońce im dopieka, a im nie wolno ani kropli wody wziąć do ust i spragnione gardło zwilżyć, nie wolno choćby okruszyną chleba się pożywić. Łatwo więc sobie wystawić, jakie męczarnie muszą znosić; a żeby to przynajmniej jakich zasług sobie przez to przysporzyli!

Nieraz idąc na przechadzkę w stronę Kartaginy mijam co tylko rozbite namioty, mieszczące całą rodzinę arabską. Namioty te przenoszą ustawicznie z miejsca na miejsce i włóczą się ciągle w pobliżu miast i wiosek. Familie te arabskie są po prostu obrzydliwe, czarne, brudne, niechlujne w najwyższym stopniu; kobiety i dzieci włosy noszą dosyć długie, ale może nigdy nieczesane, wody do mycia zapewne od kilku miesięcy nie widziały.

Namioty rozbijają w następujący sposób. Wbijają w ziemię cztery kawały drzewa, piąty zaś w środku pomiędzy nimi, wyższy aniżeli tamte. Na tych palach rozciągają następnie szmaty płócienne, łatane w każdem miejscu i przywiązane do pali bądź zielskiem, bądź powrozem, jeżeli go mają. Gdy już namiot rozpięli, wtenczas wychodzą na zbieranie różnej trawy, zielska i t. p., nanoszą tego całe kupy i naukładają w około namiotu. Przygotowali w ten sposób paszę dla kóz i osłów, jeżeli ich posiadają. Wytrzebiwszy i ogołociwszy

już należycie z trawy i zielska całą przestrzeń na kilka set kroków na około namiotu, przenoszą się znowu w inne miejsce i tam rozpoczynają na nowo tę samą manipulacyą, co poprzednio.

Gdy w niedzielę albo jakie święto przechodzimy koło nich, to wychodzą wszyscy z pod namiotu i żądają jałmużny. Są bardzo naprzykrzeni i trudno im się opędzić: kawał drogi idą za przechodniem z ręką wyciągniętą, wołając i powtarzając aż do znudzenia: *meschino! meschino!* (wyraz włoski = *biedny, ubogi*). Po większej części posługują się dziećmi, ażeby coś wyżebrać; mężczyźni wstydzą się rękę wyciągać, zresztą niktby im nic nie dał, nad dziećmi zaś rzadko się taki znajdzie, któryby się nad niemi nie ulitował.

Co się tyczy niewiast, — te, ile razy mają koło nas chrześcijan przechodzić, to sobie zakrywają całą twarz, a przedewszystkiem nos, aby nie poczuć chrześcijanina, — bo tak im nakazuje ich religia.

A teraz przejdę do czego innego.

Jesteśmy obecnie w pełnej porze fig i winogron, do tego jeszcze różnego gatunku i smaku, zatem można sobie wyobrazić, jak ich używamy, zwłaszcza świeżych fig, z któremi ja przynajmniej dopiero tutaj się poznajomiłem.

Z tem wszystkiem nie chcę bynajmniej pominąć wzmianki o nadzwyczajnem gorącu, jakie tu obecnie znosić musimy. Już piąty miesiąc upływa, odkąd ostatni deszczyk przez chwilę padał, a słońce pali wciąż i bez miłosierdzia. Na tem niedosyć: od czasu do czasu wieje z południa gorący wiatr z pustyni **Sahary**, unoszący z sobą delikatny pyłek pustynnego piasku. W takich dniach z wielką trudnością się oddycha, a ptastwo biedne, na pół uduszone, pada z powietrza na ziemię, jak martwe.

Winnica biskupia, która naokoło nas się roztacza, wydaje się prawie cała żółta i czerwona: z liści winnych, zaledwie połowa zachowała swą zieloność; połowa już pożółkła. Z winogron wielka część uległa skutkom gorącego wiatru i zamieniła się w rodzynki.

W domu prawie wszyscy narzekali i wiele ucierpieli.

Dziwna rzecz (bo i X. dyrektor dziwił mi się): ja osobiście nietylko ani razu nie zachorowałem, ale nawet nie ucierpiałem zbyt wiele od upałów. W nocy wychodzili klerycy i koadjutorzy ze sypialni na korytarz, próbując, czy przynajmniej tam im się uda znaleść jakieś miejsce cokolwiek chłodniejsze, gdzieby mogli zasnąć. Ja zaś, chwała Bogu, spałem zawsze jak kawał drzewa. X. dyrektor sądził, że ciężko zachoruję, ponieważ z zimnych krajów pochodzę. Tymczasem on sobie odleżał, chociaż z gorących krajów pochodzi, a ja trzymałem się zawsze na nogach.

Z X. Arcybiskupem i jego sufraganem spotykam się prawie każdodziennie, a każdy z nich ma zawsze dla mnie jakieś uprzejme słowo; jak ojciec do syna już z daleka się do mnie uśmiechają, zapytują się, czym zdrów, czym zadowolony, czy mi klimat służy, czy w Polsce choć z jeden raz tak gorąco, jak tu od kilku miesięcy ciągle i nieprzerwanie i t. p. i t. p. Miłują nas wszystkich z całego serca.

Na Górnym Śląsku zapewne nigdy w życiu bym tego szczęścia nie dostąpił, żebym z X. Biskupem mógł rozmawiać i przy jednym stole zasieść: tutaj zaś to szczęście nieledwie codzień mnie spotyka.

Po francusku jużem się nieco poduczył; jak umiem tak umiem, ale X. Arcybiskupowi i Biskupowi tylko po francusku odpowiadam.

A teraz na końcu niniejszego listu wrócę jeszcze raz do moich Arabów.

Biedaczyska, ile razy coś cięższego przeskrobią (a to im się bardzo często zdarza, mówiąc w ogólności), spotyka ich śmierć, i to przez powieszenie. Co kilka dni słyszymy, że znowu jakiegoś Araba powieszono. Każdy wisielec tylko 3 kwadranse wisi na powrozie, poczem zaraz go grzebią. Wprzódy jednakże myją go. To mycie ciała po śmierci oni uważają za coś w rodzaju naszego czyśca. Jeżeli zmarły za winy popełnione miał co do odpokutowania, to przez to obmycie wszystko mu zostało odpuszczone i zaraz go Mahomet schwyci za czuprynę i wciągnie do raju.

Kończę już to przydługie moje pisanie, a polecając się modlitwom wszystkich braci, życzę im błogosławieństwa Bożego i rychłego wyjazdu na misye.

Ignacy Żurek.

I.

Wyspa Dawson (rzeczpospolita chilijska, południowa Ameryka).

WIELEBNY KSIĘŻE DOBRODZIEJU,

DZIĘKI **Najsłodszemu Sercu Pana Jezusa** i **Najłaskawszej Matce Boskiej Wspomożenia Wiernych** zostałem zupełnie wyleczony z tej wielkiej niemocy, w jaką mnie wtrącił ów nieszczęsny wypadek, o którym w dawniejszym liście donosiłem był, gdy to walące się drzewo przygniotło mnie swoim ciężarem do ziemi. Otóż o owem cudownem bez wątpienia wyleczeniu dziś cokolwiek opowiem.

Znajdując się w okropnych boleściach przez dni ośm, tak iż ani sam nie mogłem się ruszyć, ani też bez wielkiego krzyku nie dawałem się dotknąć komukolwiek z braci, spojrzałem raz na wizerunek **Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych**, zawieszony nad mojem łóżkiem, i przyszła mi wtedy myśl, błagać tę Niebieską Lekarkę o rychłe uzdrowienie, tak, ażebym mógł w sobotę powstać z łóżka i chodzić. Było to we czwartek. Modliłem się gorąco, prosiłem z płaczem, pomimo to boleści nie przestawały mi dokuczać w piątek i nocy następnej. W sobotę nad ranem zasnąłem nieco mocniej, a przebudziwszy się uczułem się dość silnym na ciele wolnym od wszelkich boleści Zaraz też powstałem z łoża o własnej mocy i obiadowałem wspólnie z braćmi w refektarzu, a po kilku dniach wróciłem do swego dawnego zatrudnienia t. j. wycinania lasów i stawiania domków dla Indyan. Oczywiście **Matka Boska** mnie uzdrowiła!

Zatem w tym tak niebezpiecznym wypadku doznałem podwójnego cudu: raz, że to padające drzewo, które według ludzkiego sądu powinno mi było niechybnie pogruchotać żebra i krzyże, tak lekko się ze mną obeszło, a powtóre, że z wynikłej z tego przywalenia choroby tak prędko i stósownie do swego życzenia zostałem uzdrowiony. Jeżeli Ks. Dobrodziej uzna za stósowne, to prosiłbym o zamieszczenie w intencyi miesięcznej N. Serca Jezusowego podziękowania **N. Sercu Pana Jezusa** i **Matce Boskiej Wspomożenia Wiernych.**



Indyanka z Ziemi Ognistej z dzieckiem przed szałasem.

Teraz podaję nieco wiadomości z naszej misyi tutejszej.

W miesiącu czerwcu, obchodząc święto **Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych**, poświęciliśmy domy tych Indyan, któreśmy im wybudowali; tworzą one dość szykowną wioskę o prostych wzdłuż i wpoprzek ulicach. Na nieszporach udzielono Chrztu św. kilku osobom dorosłym i dzieciom, a także zawarty został pierwszy związek małżeński pomiędzy młodzieńcem Indyaninem, mającym około lat 20, imieniem **Alojzy**, i dziewczyną Indyanką, mającą lat 14 albo 15, imieniem **Łucya**, która aż dotąd wychowywała się w domu naszych Sióstr Salezyanek. Do obiadu zasiedliśmy wszyscy przy długim kilkumetrowym stole; przy jednym końcu przełożeni, a przy drugim my bracia i państwo młodzi; dalej matka młodej panny, a także przyjaciele i przyjaciółki młodej pary. Przy obiedzie grała muzyka na trąbach i bębnach; muzykantami byli nasi chłopcy Indyanie, wychowani w naszym domu. Za kapelmistrza mają Włocha, którego przysłał nam Inspektor nasz*) ks. **Fagnano**, zrobiwszy z nim kontrakt na 2 lata. Upłynęło dopiero pół roku, a chłopcy już dość dobrze grają. W tymże dniu, po nieszporach, urządziliśmy między tymi domami procesyą ku czci **Najśw. Panny**, podczas której nosili Indyanie statuę **Matki Boskiej Wspomożenia Wiernych**, a sześciu z nich konno towarzyszyło tym, którzy nieśli statuę. Niedawno przybudowaliśmy kościoła naszego o kilka metrów wszerz i wzdłuż, ponieważ liczba naszych chrześcijan Indyanów coraz się powiększa i dawny kościół do ich pomieszczenia jużby nie wystarczył. Architektem naszym jest ks. **Bernaba**, pochodzący z Trydentu, którego posyłają przełożeni wszędzie do naszych domów salezyańskich, gdziekolwiek zachodzi potrzeba pobudowania lub przebudowania jakiego budynku.

Nasz Inspektor, ks. **Fagnano**, kupił niedawno parowiec, mogący utrzymać ciężaru 200 ton, który kosztuje przeszło 60 tysięcy franków i ma głównie służyć nam do przywożenia wszystkiego, co dla

*) X. *Inspektor* w Zgromadzeniu salezyańskiem znaczy tosamo, co X. *Prowincyał* w innych zakonach Kościoła katolickiego.

nas będzie potrzebnem, a najbardziej dla niedawno założonej misyi w środku Ziemi Ognistej, pod nazwą **Misya Matki Boskiej Gromnicznej** (*Candelara*). Do kupienia wspomnianego statku zmusiła naszego X. Inspektora ta okoliczność, że w to miejsce żaden statek parowy ani żaglowy nie podejmuje się jechać dla wielkich niebezpieczeństw, jakie mu co chwila grożą, i przez to nasi bracia, przebywający tam wraz z oswojonymi już Indyanami, narażeni bywają często na brak żywności.

Pewnego dnia przybyło do nich około 300 Indyan, ale niedługo pouciekali do swych dawnych kryjówek. Miejsce to od strony oceanu jest zupełnie otwarte i okrutnie burzliwe; wjeżdża się z morza do rzeki, a potrzeba koniecznie natrafić na przypływ morza, bo wtedy woda wznosi się



Osada salezyańska dla Indyan na wyspie Dawson.

o kilka metrów nad zwykły poziom i napełnia rzekę, w czasie zaś odpływu morza rzeka znacznie zmaleje, a co gorsza, znajdujące się na wstępie do niej w morzu skały i sterczące kamienie narażają okręt na rozbicie; przytem bałwany morskie uderzają z taką siłą o brzegi, że aż ziemia drży w około. Mamy nadzieję, że przy pomocy Bożej parowiec ten odda nam bardzo wielkie usługi w naszej misyi, bo zeszłego roku wynajęcie parowca do tego miejsca na jeden miesiąc tylko, kosztowało nas 20 tysięcy franków, i to nie bardzo się opłaciło. Naładowali ten wynajęty parowiec drzewem, z którego miano pobudować kościółek i domy: jeden dla nas, drugi dla Salezyanek, ale gdy się już zbliżyli do celu swej podróży, powstała wielka burza, która nie pozwoliła im wjechać do rzeki, ale chciała ich na brzeg wyrzucić. Nakoniec, z wielką biedą udało się wylądować jednemu księdzu, 4 braciom, i 3 czy 4 cieślom, którzy zabrali z sobą trochę żywności i trochę desek dla zbudowania jakiegokolwiek baraku, ale i to wylądowali nie tam, gdzie sobie życzyli, tylko zupełnie w innem miejscu. Mieli też z sobą parę sztuk bydła i koni. Zresztą bydło, pozostałe drzewo i dwie wielkie łodzie połamali i potopili, a tylko resztę przywieźli do Puntarenas.

Miejsce to jest bardzo trudne do założenia misyi, ale cóż robić? gdzieindziej niema wody.

Niema tu też ani kawałka drzewa do palenia, żadnego krzaka, ani lasu, po drzewo trzeba jeździć o 2 lub 3 godziny drogi, gdzie go się cokolwiek znajduje, ale za to pasza dla bydła jest piękna.

Pozdrawiam z całego serca Przewielebnego księdza Dobrodzieja i wszystkich Jego wychowanków.

II.

W ten sam dzień, kiedym list Wielebnego X. Dobrodzieja otrzymał, przyjechał do nas na parowcu z Patagonii (w Ameryce południowej) nasz ksiądz Biskup salezyański, **Cagliero**, i X. Prefekt apostolski, **Fagnano**. Zabawili u nas dwa dni. Mieliśmy uciechę bardzo wielką. Ksiądz Biskup mówił mi, iż w czerwcu pojedzie do Europy, do Włoch.

Na wyspie Dawson wiosna się zaczyna przy końcu września. Październik, listopad i grudzień aż ku godom są dosyć piękne. Ale lato nasze jest takie, iż ledwo dwa dni lub trzy dni w miesiącu są ciche i spokojne, a reszta dni w miesiącach letnich są zmienne: to raz świeci słońce i jest pięknie, a za pół godziny zawieje ostry wiatr i pada deszcz, a czasami nawet szron i śnieg. Stąd ziemniaki tego roku nam się wcale nie udały, bo trzy razy wśród lata w ogrodzie nam zmarzły. Ziemia jest żyzną i urodzajną, ale z powodu braku ciepła stałego mało jest zdatna do uprawy. I w Puntarenas, 45 mil oddalonem od wyspy Dawson, udają się ziemniaki, rzepa, kapusta i sałata tylko w zaciszu. A zboże żadne tam nie dojrzeje, jak i na wyspie Dawson. Zima u nas rozpoczyna się od połowy kwietnia. Kiedy u nas

jest najtwardsza zima, zimno nie dochodzi wyżej nad 15° R. A ponieważ w lecie niema upałów, a tylko częste padają deszcze, zatem paszy mamy dużo a trawa nawet w zimie jest zielona. Skoro śnieg zginie, co często się zdarza wśród zimy, trawa wychodzi zielona, którą spasają zaraz nasze konie i krowy. Bydła nam dostarcza okrętami rząd rzeczypospolitej chilijskiej, który nam oddał wyspę Dawson na lat 22. Atoli to bydło nie jest tak obłaskawione jak europejskie. Jest ono na pół dzikie. Trzymamy je w lasach, w ogrodzonych obórkach. Dwa razy po 5 dni szukaliśmy z naszymi oswojonymi Indyanami bydła potraconego po lasach. O 3 mile od naszego domu mamy około 2 tysiące owiec. W listopadzie strzygliśmy im wełnę, którą potem sprzedaliśmy do Anglii. Owczarza mamy z Anglii.

Dom nasz zakonny jest dosyć obszerny. Dzieli się na 3 części: w środku mamy kościół, a po obu bokach z jednej strony jest mieszkanie dla Salezyanów, a z drugiej strony dla Salezyanek.

U Salezyanów mieszka 8 chłopców indyjskich, a u Sióstr znowu 6 dziewcząt osieroconych. Opodal naszego zakładu zbudowaliśmy dla kilkunastu rodzin indyjskich chatki z desek. Dostarczamy im naszej żywności i uczymy ich żyć po ludzku.

Codziennie zimą zabieramy Indyan ze sobą do lasu i spuszczamy z nimi drzewa, obcinamy je z gałęzi, przerzynamy na kawałki, które potem sprowadzamy do naszej kolonii i budujemy z nich nowe domki dla Indyan, mających się nawrócić. Zupełnie bowiem dzicy Indyanie żyją zimą i latem tylko pod drzewami, gdzie ogień we dnie i w nocy palą i stąd kraj, przez nich zamieszkały, dla licznych ogni, spostrzeganych od podróżnych, jadących morzem, nazwany jest Ziemią ognistą. Z lasów wychodzą Indyanie drożyną dobrze wydeptaną na brzeg morski, gdzie po odpływie morza znajdują ślimaki, ryby nieżywe i różne gadziny i potwory morskie, które z największym smakiem surowe i bez wszelkiej przyprawy zjadają. A gdy któremu potrawa ta nie służy i zacznie krzyczeć wskutek boleści wewnętrznych, zjawia się niezadługo znachor, czyli lekarz indyjski, i zaczyna go leczyć w następujący sposób: każe choremu położyć się na ziemi. Zaklàwszy złych bogów, którzy chorobę zesłali (a czyni to, grożąc na okół pięściami i straszliwie plując), przeprasza bogów dobrych i wzywa ich, aby zdrowie przywrócili choremu: a potem kładzie nogę na żywot chorego i z największem natężeniem go ciśnie, tak iż często choremu krew gardłem się rzuci. Chory, ogromnie jęcząc i krzycząc, pozbywa się tym sposobem zbytniego i niestrawnego pokarmu.

Lepszą strawę mają z polowania na zwierza dzikiego, na który polują strzałami, zakończonemi ostrym krzemieniem. Na 300 kroków potrafią ubić *guanaka*, zwierzę, cokolwiek większe od sarny europejskiej; polują również na psa morskiego. Futra z tych zwierząt sprzedają przejezdnym Europejczykom za byle co: nieraz za kawał szmaty, albo za trochę tytoniu. Gdy zoczą zbliżający się jaki statek europejski lub amerykański, podpływają ku niemu na swych małych łódkach, wołając przeciągle: *szip!* (*sheep* po angielsku = owca) i *pentelùns!* (*pantaloons* = spodnie, co w ich rozumieniu oznacza jakąbądź część ubrania). Owca uchodzi bowiem u nich za najsmaczniejszy kąsek. Skoro ją otrzymają w darze albo gdzie ukradną, zabijają to zwierzę szybko i nie odarłszy go ze skóry ani oprawiwszy, rozdzierają w kawały i pożerają chciwie, ile go starczy, z wełną, wnętrznościami i t. d. Nie dziw, że potem chorują na niestrawność.

Nie znają również co to jest, chować żywność na zapas, tak iżby starczyła na dłużej. Wszystko pożerają od razu. Jeżeli mało upolują, poprzestają na tem niewiele, ale jeżeli im szczęście posłużyło i ułowili coś więcej, to jedzą tak długo, aż wszystkiego do żołądka nie dostaną. Na jutro, na pojutrze, nie chowają nic.

W Polsce mówi się nieraz o człowieku tępym i nierozgarniętym, że *nie umie liczyć do trzech*. Uważa się jednak podobnych ludzi za wyjątki. Nie myślałem nigdy, ażeby na świecie istniał gdzie naród, któryby cały jaki jest, ogółem wziąwszy, do trzech nie umiał liczyć. Tutaj go znalazłem. Wszyscy nasi Indyanie nie umieją aż do trzech liczyć. Rachują tylko do *dwóch:* jeden, dwa; potem znowu: jeden, dwa, i tak ciągle.

Aż litość bierze patrzeć na tych biednych ludzi. Są prawie wszyscy nadzy, strasznie brudnej, okopciałej twarzy, o włosach długich, sięgających do bioder, które często skręcone są w kołtun, pełen plugastwa. Bracia Salezyanie muszą strzydz, golić i myć mężczyzn, a zaś siostry zakonne czynią to z niewiastami. A potem ich ubieramy i uczymy życia ludzkiego i najprostszych zasad wiary. W dzień św. Józefa udzieliliśmy 17 Indyanom chrztu św. Ja także byłem ojcem chrzestnym. A nawet troje nowonarodzonych dzieci do chrztu trzymałem. Ja myślałem, że Indyanom przysłużę się mojem rzemiosłem szewskiem, a tymczasem przyszedłszy tutaj widzę, że im czego innego potrzeba.

Nie uwierzy się, jakiego zaparcia i poświęcenia potrzeba, aby tym biednym Indyanom można służyć.

Dzisiaj przybyły na łódkach, wyrobionych z kory, obdartej z drzewa, nowe rodziny indyjskie z wysp poblizkich, prosząc z płaczem o przyjęcie do naszej kolonii.

Najukochańsi moi, proszę was, ażebyście wspólnie zemną Panu Bogu dziękowali za dobrodziejstwa mi udzielone, za zdrowie, za szczęśliwe powodzenie, a osobliwie za powołanie do zakonu, gdyż czuję się niewypowiedzianie szczęśliwym, iż mnie Pan Bóg wybrał i posłał pomiędzy narody nieszczęśliwe, którym mogę nieść pomoc, iż mogę ich dusze krwią Zbawiciela odkupione, ratować od zguby wiecznej.

Proszę pozdrowić wszystkich rodaków; proszę ich usilnie, by mnie w modlitwach swoich Bogu polecać raczyli, gdyż ja przy każdej Komunii św. o wszystkich pamiętam i za nimi się modlę.

Jan Sikora.

Za pozwoleniem władzy duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: Józef Gambino. — Drukarnia salezyańska. Turyn, 1897.